

W NUMERZE:

PONAD PIRAMIDY

Jerzy Dostatni str. 3

POEZJA W TRYBIE WARUNKOWYM

Zygmunt Mikulski str. 7-8-9

POWROT



MARYLI

Istvan Grabowski str. 5

ROK ZAŁOŻENIA 1933

czas. 2552/1976/20

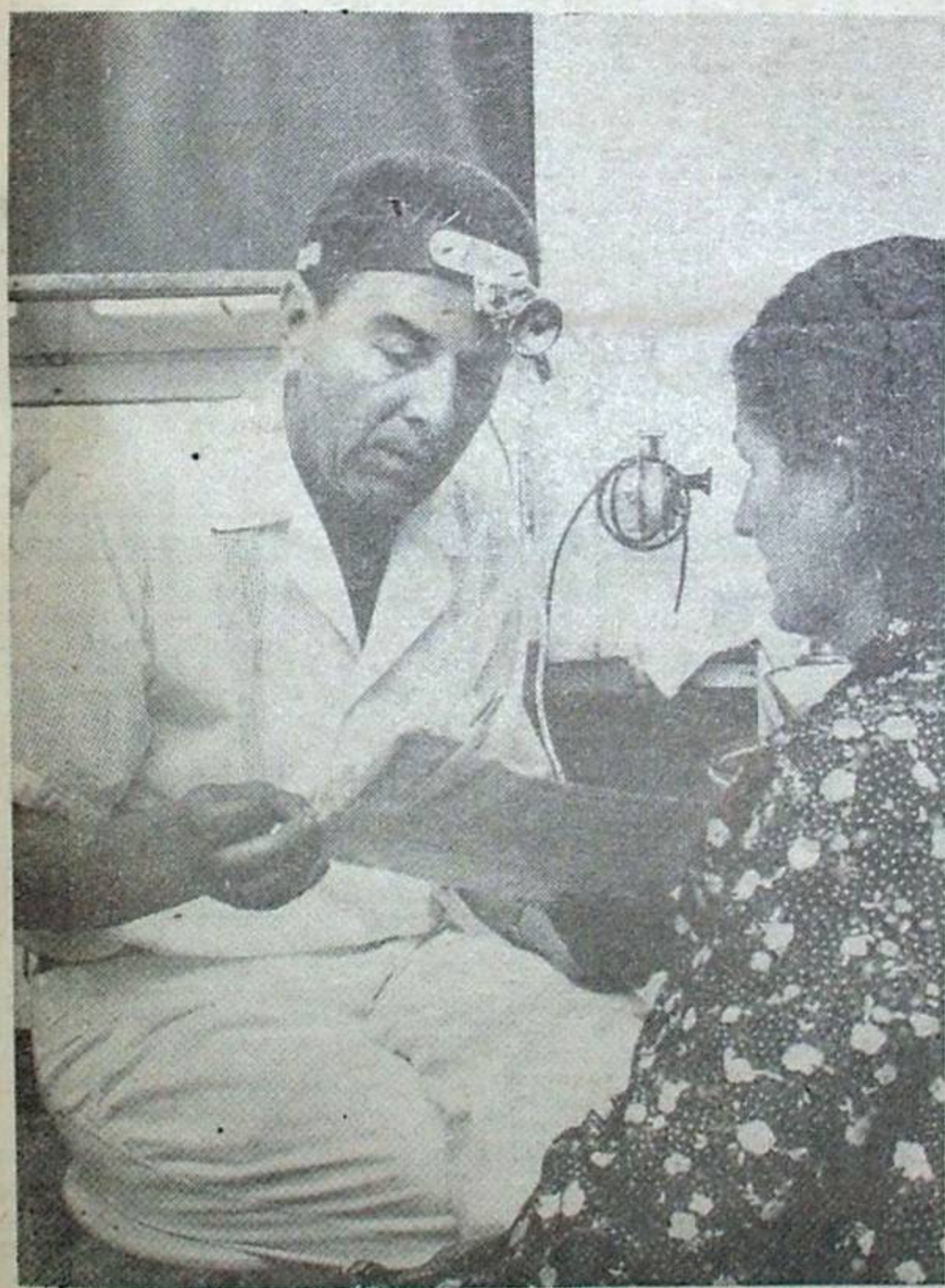
Exemplarz obywatelski
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

Wamena

LUBLIN 3 X 1976 Nr 20 (610)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ



Fot. J. Polski

UCZYĆ I LECZYĆ

ROZMOWA Z PROF. DR. HAB. BOLESŁAWEM SEMCZUKIEM
REKTOREM AKADEMII MEDYCZNEJ W LUBLINIE

— Panie Rektorze, studia medyczne nadal mają wzięcie wśród młodzieży; lekarz to fachowiec zawsze i wszędzie potrzebny. Jeśli nawet nie cieszy się on tak wysokim prestiżem społecznym, jak niegdyś, kiedy na dziesięć tysięcy mieszkańców kraju przypadało czterech czy pięciu lekarzy, kiedy dyplom uczelni wyższej niejako automatycznie awansował posiadacza w oczach krewnych, znajomych i nieznanymi — to przecież kolejki do Akademii Medycznych niewiele ustępują tym, które ustawiają się do historii sztuki, psychologii, archeologii, prawa czy historii...

— W tegorocznych egzaminach wstępnych na Wydział Lekarski naszej uczelni brało udział 799 osób, z czego 416 egzaminów nie zdało. Na studia przyjęliśmy 268, około 30 skierowaliśmy na farmację. Na stomatologię starało się 218 kandydatów, zdało — 152, przyjęliśmy 53. Farmacja zainteresowała 139 osób, z których 75 nie poradziło sobie z egzaminami. Na studia przyjęliśmy 90. Ogółem Akademia Medyczna w Lublinie liczy obecnie 3675 słuchaczy i jako jedyna w Polsce rozwija pięciokierunkowy program kształcenia. Mam na uwadze także Wydziały, jak wspomniane już: Lekarski, Farmacji, Stomatologii (oddział) oraz Pielęgniarski, na który przyjęliśmy w tym roku 74 kobiety (egzamin wstępny zdawało 118). W ramach tego właś-

nie Wydziału prowadzimy kurs międzynarodowy, którego słuchaczkę rekrutują się z krajów RWPG. Wykłady prowadzone są w języku rosyjskim. Ta forma kształcenia pozostaje w ścisłym związku z działalnością Światowej Organizacji Zdrowia (WHO), wyspecjalizowanej agencji ONZ. Podobny kurs, z językiem wykładowym angielskim, istnieje w Belgii. Przeznaczony on jest dla innej grupy krajów.

— Na 799 chętnych studiowania na Wydziale Lekarskim aż 416 oblało egzamin — to smutne proporcje, nieprawda?!

— Lubelska Akademia Medyczna od lat utrzymuje się w ścisłej czołówce uczelni, które cieszą się zainteresowaniem młodzieży o wiedzy więcej niż przeciętnej. Inaczej mówiąc: „nasi” kandydaci na studia uzyskują podczas egzaminów wstępnych wyjątkowo dużo punktów, co przy okazji dobrze świadczy o lubelskich szkołach średnich. W bezpośrednim związku z państwowym pytaniem będzie chyba informacja, że stopień trudności tegorocznych testów egzaminacyjnych, obowiązujących na wszystkich kierunkach poza pielęgniarstwem, był bardzo wysoki.

— Przeciw przeciętności, co i bardzo dobrze... Proszę o kilka słów na temat owych trudnych testów.

Dokończenie na str. 4.

SYTUACJA po powstaniu listopadowym określa los zarówno orientacji politycznych, jak i ludzi ideą powstania objętych. Rozważano przyczyny upadku, ścierały się poglądy na temat sposobów odzyskania niepodległości, narastały represje caratu. Fakt, że czyn zbrojny odniósł skutek tak niewspółmierny z zamierzeniem nurtował atmosferę społeczną, a niemożność publicznej wymiany poglądów dodatkowo wpływała na kontrowersyjność stanowisk. W tych warunkach szczególnej wyrazistości nabral radykalny ruch społeczny, za

WZORY PATRIOTYZMU

SEWERYN GOSZCZYŃSKI - KATON I CYGAN

Krzysztof Janicki

jedno z zasadniczych założeń mający włączenie do działań wyzwolenych całego narodu, a więc i chłopstwa, które w powstaniu 1830 roku widziało tylko szlachecką imprezę.

Jednym z najkonsekwentniejszych przedstawicieli tej orientacji był Seweryn Goszczyński, poeta, publicysta, aktywny uczestnik konspiracyjnej pracy patriotycznej.

Urodził się 4 listopada 1801 roku w Iłlicu koło Humania. Początkowo uczył się w domu, w szkole ele-

Dokończenie na str. 8-9

JAK JE WYKORZYSTAMY?

FACHOWCY — nie tylko polscy — twierdzą, że aby zapewnić niezbędny poziom spożycia artykułów pochodzenia zbożowego oraz mięsa w wysokości około 70 kg rocznie, trzeba produkować rocznie około 800 kg zboża na jednego mieszkańca. Tymczasem w roku ubiegłym nieurodzaj, związany z warunkami klimatycznymi spowodował, że wyprodukowaliśmy tylko 600 kg. Aby osiągnąć owe wyliczone minimum, na import ziół i pasz wydaliśmy w tymże roku prawie miliard dolarów. Tegoroczne warunki klimatyczne wskazują, że teraz czeka nas podobny wydatek. Chyba nawet większy, jako że kłaska suszy dotknęła wiele innych krajów europejskich, w związku z czym ceny zboża i pasz jeszcze wzrosną.

Nie ma takiego ministra finansów w Europie, który podobne wydatki mógłby zapisywać spokojnie do bilansu płatniczego. Jeżeli my je ponosimy — a w mniejszej skali także w poprzednich latach — to zawdzięczamy to przede wszystkim dynamicznemu rozwojowi naszego przemysłu, który nie tylko coraz szerszą gamą wyrobów, ale i coraz lepszą ich jakością wkracza na rynki światowe.

Jednak i możliwości naszego przemysłu są jakoś ograniczone. Stąd też nie od dzisiaj podejmujemy różne działania, aby zwiększyć krajową produkcję ziół i mięsa. Nie da się tego, niestety, osiągnąć w krótkim czasie. Odczuwalna zmiana w produkcji roślinnej może nastąpić najwcześniej za rok, natomiast jeżeli chodzi o mięso, czekać trzeba dłużej. Weźmy dla przykładu województwo lubelskie. Czerwcowy spis rolny wykazał, że w ciągu roku pogłowię trzody chlewnej spadło o 17,5 procent, co było wynikiem trudności ze zdobyciem — mimo tak poważnego importu — odpowiedniej ilości paszy. Najgorsze jednak, że

spadło pogłowię macior i to aż o 25 procent. Trzeba więc przynajmniej dwóch lat, aby osiągnąć stan poprzedni, który i tak był niewystarczający.

Partia i rząd w skomplikowanej i trudnej sytuacji żywnościowej kraju podejmują szereg działań, których celem jest możliwie największe złagodzenie niedoborów pewnych rodzajów żywności oraz paszy. Uszlachenia się więc wiele produktów, bogacąc je przede wszystkim o białko. Podwyższono znacznie ceny skupu aby zachęcić rolników do jeszcze większych wysiłków w produkcji roślinnej i zwierzęcej. Ograniczono poważnie, a w niektórych przypadkach zupełnie zlikwidowano eksport artykułów żywnościowych, chociaż z finansowego punktu widzenia eksport ten był opłacalny. Odwrotnie — zapowiedziano nawet interwencyjny import mięsa, mimo że na rynkach światowych jego cena w ostatnich czterech latach wzrosła trzykrotnie (podobnie zresztą zboża, cukru, czy olejów jadalnych). Zwiększono areal poplonów, wykorzystuje się na pasze lekceważone dotąd odpady z przemysłu rolno-spożywczego, propaguje się melasowanie i drożdżowanie lepszych gatunków słomy. Do końca bieżącej pięcioletniej inwestycji w rolnictwie wyniosą co najmniej 560 miliardów złotych.

Podsumowaniem dotychczasowych działań, a przede wszystkim skonkretyzowaniem zadań na bliższą i dalszą przyszłość, zadań postawionych już na VI Zjeździe, a potem rozwiniętych na VII Zjeździe — było ostatnio IV plenum Komitetu Centralnego PZPR.

Tow. Edward Gierek w referacie Biura Politycznego przypomniał czerwcowe propozycje w sprawie zmiany struktury cen i sposobów rekompensaty zwiększonych wydatków ludności stwierdzając, że *wystąpiły istotne różnice poglądów i wątpliwości co do zakresu i skali proponowanych zmian*. Wyciągając

wnioski z tej sytuacji, I sekretarz KC PZPR stwierdził m. in.: *Będzie my nadal umacniać i pogłębiać demokrację socjalistyczną... Trzeba przemyśleć i skonkretyzować reguły stosowania konsultacji oraz zobowiązań, które z niej wynikają i dla władz, i dla społeczeństwa (...)* Musimy głębiej poznawać nastroje ludzi pracy, lepiej znać ich poglądy i uczucia, uniknąć oceny sytuacji społecznej i politycznej.

Te bardzo ważne dla naszego życia społeczno-politycznego problemy były punktem wyjścia zarówno w referacie Biura Politycznego, jak przede wszystkim w bogatej dyskusji do najważniejszego obecnie problemu ekonomicznego, jakim jest cały kompleks spraw, związanych z rolnictwem. Polityka rolna, wywodząca się jeszcze z VI Zjazdu, ma przede wszystkim przynieść takie zwiększenie produkcji rolnej, by przy pełnym zaspokojeniu potrzeb kraju można było zrezygnować z importu w tej dziedzinie. Aby to osiągnąć, każde gospodarstwo rolne, uspołecznione czy prywatne, będzie miało zapewnione wszelkie warunki rozwoju, wszechstronną pomoc państwa, jeżeli tylko będzie się wywiązywać ze swoich obowiązków wobec tego państwa. Nieuchronną koniecznością jest socjalistyczna przemiana strukturalna naszej wsi, ale musi się ona dokonywać stopniowo, zgodnie z realną sytuacją, przy zapewnieniu pełnej stabilizacji tym rolnikom indywidualnym, którzy prowadzą specjalistyczne i towarowe gospodarstwa rolne.

Zgodnie z wnioskiem Biura Politycznego plenum zatwierdziło propozycję o utworzeniu pięciu partyjno-rządowych zespołów, które zajmą się głębokim przeanalizowaniem następujących spraw: zasady polityki cen na podstawowe artykuły żywnościowe, aktywizacja produkcji rolnej, możliwości dalszego rozwoju rolnictwa oraz gospodarki żywnościowej, program oszczędności w całej gospodarce oraz realizacja programu budownictwa mieszkaniowego. Zespoły te przed-

stawiają swoje wnioski mniej więcej za rok i wnioski te będą polem pod dane społecznej konsultacji.

Bogata problematyka IV Plenum wykazała z jednej strony, że rolnictwo to już nie tradycyjna forma gospodarowania, ale prawdziwa fabryka żywności, w której trzeba pracować innymi niż dotąd metodami, komputerów nie wyluczając. Z drugiej zaś strony — że współczesnego rolnictwa nie da się wyizolować z całego systemu polityki ekonomiczno-społecznej, że jest ono bezpośrednio czy pośrednio powiązane ze wszystkimi innymi działaniami gospodarki.

22 września premier Piotr Jaroszewicz przedstawił Sejmowi rządowy program realizacji postanowień IV Plenum KC PZPR. Prasa codzienna relacjonowała szczegółowo ten program, zmierzający do budowy w naszym kraju rolnictwa nowoczesnego, wysokowydajnego, dysponującego niezbędną techniką i bazą materiałną. Podjęte przez rząd środki, zarówno te na dziś i jutro jak również perspektywiczne, zmierzają do osiągnięcia tego własnego celu. Na zakończenie swego wystąpienia premier Jaroszewicz stwierdził:

Z trudnościami, jakie wyłoniły się przed nami w trakcie przyspieszonego rozwoju Polski — z pewnością potrafimy się uporać. Nie mają one bowiem nic wspólnego ze stagnacją, z niewiarą we własne siły. Pokonanie tych przeszkód nie przyjdzie łatwo — wymagać będzie wysiłku, czasu, cierpliwości i konsekwencji. Zdecyduje jakość pracy milionów Polek i Polaków we wszystkich dziedzinach, na wszystkich szczeblach i na każdym stanowisku.

Dotychczas przeciętny mieszczuch patrzył na rolnictwo przez pryzmat tego, co dostrzegł na półkach sklepowych. Teraz już chyba wszyscy zdajemy sobie sprawę, że jest to sprawa ogólnonarodowa, że aby osiągnąć efekt na półkach, trzeba wyśiłu każdego z nas. A także, gdy trzeba, poniesienia pewnych ofiar do czasu, gdy wspólnym wysiłkiem potrafimy przezwyciężyć kłopoty. Perspektywy i możliwości są duże. Jak je wykorzystamy, tak będziemy mieli.

(d)

W którym żyjemy

NAWRÓT

ZE SWIAT współczesny jest coraz bardziej zwariowany — stwierdziła niedawno w jednej z audycji brytyjska telewizja BBC — wszyscy wiemy. Jeżeli pójdzie tak dalej, dojdziemy do momentu, gdy współczesne życie wraz z całą swoją cywilizacją spowoduje, iż będzie coraz mniej ludzi żyjących jako tako normalnie.

Po tym dramatycznym stwierdzeniu BBC ogłosiła apel, aby zgłosili się ochotnicy, którzy przez cały rok zechcą żyć w warunkach, jakie istniały dwa tysiące lat temu. Wyszukano mianowicie zupełnie odludny kawałek kraju nad morzem, zarosły pięknym lasem, w którym ochotnicy mają żyć w prymitywnych warunkach, jakie zdolają sobie sami stworzyć bez pomocy z zewnątrz. Tak więc sami będą musieli zbudować sobie szałas, zdobywać żywność w lesie lub na morzu i sami uszyć sobie ubrania po dostarczeniu im włókna lnianego.

Wbrew oczekiwaniom w ciągu tygodnia zgłosiło się aż osiemset osób. Wybrano sześć małżeństw, z których jedno posiada dwoje dzieci w wieku dwóch i czterech lat. Potem zresztą jedną parę musiano eliminować i zastąpić inną, gdyż okazało się, że para ta nie była małżeństwem. Wśród wybranych znajdują się: lekarz, pielęgniarka, nauczyciele, robotnicy. Szefem tej całej pierwotnej kolonii będzie 26-letni psycholog John Rockliff. Lekarz tylko w wypadku ratowania życia bę-

dzie mógł wezwać pomoc z zewnątrz. Jedynym znakiem współczesności ma być ekipa telewizyjna, pojawiająca się periodycznie celem utrwalania na taśmie życia tych „pierwotnych” ludzi. Eksperyment ma zacząć się w marcu przyszłego roku.

GÓRA ŚWIATŁA

JAK doniosła prasa pakistańska, premier tego kraju Ali Bhutto napisał osobisty list do premiera Wielkiej Brytanii Jamesa Callaghana z prośbą o zwrot jednego z najszlachetniejszych brylantów świata — Koh-i-noor, który jest drugą najcenniejszą ozdobą korony królów Wielkiej Brytanii. Premier Pakistanu uzasadnia swoją prośbę zarówno względami uczuciowymi jak i tym, że w ten sposób Wielka Brytania może przed całym światem potwierdzić, iż raz na zawsze zrezygnowała z dawnego imperium kolonialnego. Podobno dwie godziny po opublikowaniu tej wiadomości rząd Indii wysłał analogiczną prośbę do Londynu, twierdząc, że brylant należy historycznie do Indii a nie do Pakistanu.

Brylant Koh-i-noor (co znaczy — góra światła) jest czwartym największym brylantem świata. Znalaziono go w XVI wieku w Indiach w bliżej dziś nie znanym miejscu. Po podbiciu Pendżabu przez brytyjską Kompanię Wschodnioindyjską w niewyjaśnionych bliżej okolicznościach przeszła ona z rąk spadkobierców maharadży na własność Kompanii, a po jej rozwiązaniu w 1799 roku stała się własnością stacjonujących w Indiach wojsk brytyjskich. W 1819 roku dowództwo

wojsk przekazało brylant królowej Wiktorii. Dziś zdobi on koronę królewską i jest wraz z nią przechowywany w wieży Tower w Londynie.

Koh-i-noor miał początkowo 191 karatów, a po oszlifowaniu w 1959 roku „tylko” 109 karatów. Dodajmy, że największy brylant świata Cullinan I (530 karatów) zdobi berło królów angielskich. Znalaziono go w Południowej Afryce. W stanie surowym miał ponad 3 tys. karatów. Ze względów praktycznych rozłupano go na 9 większych i 96 mniejszych brylantów. Największy jest Cullinan I, a Cullinan II (309 karatów) jest najdroższym klejnotem w koronie brytyjskiej.

WESOŁY KONSUL

NIBY żyjemy w bardzo zracjonalizowanym świecie, a jednak łatwowierność i naiwność wielu ludzi po prostu nie ma granic. I wciąż jeszcze chcemy wyróżniać się spośród innych, nawet wtedy gdy mamy świadomość, że na to wyróżnienie niczym nie zasługujemy, lub że jest to wyróżnienie iluzoryczne, a nawet śmieszne. Świadczy o tym głosna ostatnio w Republice Federalnej Niemiec historia 37-letniego Hansa Hermana Weyera, zwanego „wesołym konsulem”.

Otóż przed 15 laty Weyer z nieznanymi powodów został mianowany konsulem honorowym Boliwii. Przystojny, nie pijący alkoholu i nie palący, zawsze pokazujący się w towarzystwie pięknej modelki Auschi Stoezle, Weyer zaczął „bywać”, zdobywając sobie coraz to nowych znajomych i przyjaciół. Wkrótce jednak doszedł do wniosku, że tytuł konsula może być bardziej

przydatny w innej dziedzinie. Zaczął więc ludziom próżnym a łatwowiernym sprzedawać najpierw różne tytuły. Naukowe — profesora, doktora honoris causa, doktora zwykłego, oraz arystokratyczne — księcia, hrabiego, barona. Potem zaczął nadawać najbardziej fantastyczne ordery, nie istniejące zresztą w żadnym państwie. Stawki były różnicowane, rosły w miarę postępującej inflacji i dzisiaj przeciętna wynosi 50 tys. marek. Jak twierdzi „Die Welt”, ordery Weyer sprzedaje na własny rachunek, natomiast z wpłat za tytuły naukowe i arystokratyczne zabiera dla siebie tylko dziesięć procent. Resztę przekazuje autentycznym arystokratom, którzy godzą się na sprzedaż tarczy herbowej, lub uczelniom — głównie w Ameryce Łacińskiej i Afryce — które wydają dyplomy „naukowcom”.

Jak obliczyli sprytni reporterzy, Weyer na swoich niezwykłych transakcjach zrobił wielki majątek. Posiada on m. in. 95 garniturów, 2 samochody Rolls Royce, 2 Mercedesy 600 i 2 Mercedesy 350, 2 dogi niemieckie z długimi rodowodami (tym razem prawdziwymi), samolot turystyczny, fermę w Bawarii, hotel nad jeziorem Starnberger, luksusowe mieszkanie w Monachium, dwie wille w miejscowościach wypoczynkowych, biuro w Paryżu. Przed kilku miesiącami telewizja zachodniemiecka w drugim programie poświęciła mu pół godziny. Weyer otrzymał za to honorarium w wysokości 50 tys. marek, a pozwolił się filmować tylko na tle pałaców i muzeów Londynu, Paryża i Monachium.

Najdziwniejsze jest to, że Weyer, jak wspomnieliśmy, w 1964 roku został skazany w Hamburgu na 27 miesięcy więzienia i 78 tys. marek grzywny za fałszowanie dokumentów i nieprawne posługiwanie się tytułem naukowym. Brak jednak śladów, aby ten wyrok odszedział lub zapłacił grzywnę.

DWUDZIESTOPIĘCIOLATKÓW jest 84. To ci, którzy w Lubelskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego pracują od chwili jego powstania. Część zaczęła nawet w trzech innych jednostkach, które w styczniu 1951 roku dały początek dzisiejszemu LPBP. Nie chcą im zabierać godzin zasłużonego odpoczynku, na spotkanie w sobotnie popołudnie zaprosiłem pięciu. Przyszło dwunastu.

O sobie mówić prawie nie chcą. Pracowali, uczyli się, dojrzewali, zakładali rodziny — zwykłe życie, powiadają. A ja myślę, że życiorys każdego z nich — nie ten formalny, tkwiący w aktach personalnych — to materiał do dokumentalnego lub literackiego obrazu wielkich przemian, jakie przechodził nasz kraj, a razem z nim ludzie najbardziej zaangażowani, miłujący swoją robotę z jej sukcesami i niepowodzeniami włącznie. Ludzie jakoś wewnętrznie dumni z tego, co zrobili, a równocześnie niezadowoleni, że nie udało się zrobić jeszcze więcej, jeszcze lepiej...

No bo przecież w ciągu 25 lat załoga Lubelskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego oddała do użytku w naszym regionie 3476 obiektów o łącznej kubaturze ponad 18 milionów metrów sześciennych — znacznie więcej, niż wszystkie egipskie piramidy razem wzięte! Gdy więc chodzą ulicami naszych miast, miasteczek, osiedli i wsi, niemal wszędzie widzą rezultaty swojej lub swoich kolegów pracy. Są z tego dumni, ale nie zadowoleni. Notują ich wypowiedzi bez nazwisk, bo to, co mówi jeden, jest opinią ich wszystkich, wypracowaną w trudzie minionego ćwierćwiecza.

Do tzw. opinii publicznej, a niekiedy także do tego czy innego przedstawiciela władz, mają żal o dwie sprawy. Pierwsza — gdy ich robotę przyrównują do pracy w fabryce. Prawda, że jest to już budownictwo uprzemysłowione nie tylko w nazwie przedsiębiorstwa, ale także w rzeczywistości. Ale prawdą jest również i to, że ich sprzęt — koparki, spychacze, samochody, betoniarki, dźwigi — pracuje wyłącznie pod chmurką. Ludzie najczęściej także, a waciaki i walonki nie zawsze chronią przed zimnem, a zawsze przeszkadzają w swobodzie ruchów. Nawet najlepiej urządzone zaplecze socjalne da wytchnienie tylko na kilka, najwyżej kilkanaście minut. Mróz czy upał, deszcz czy śnieg, zastępy w bezruchu powietrze czy wichura, gruda czy błoto sięgające kolan — praca nie może zostać przerwana.

I druga — że u nich stosunkowo duża fluktuacja załogi. Prawda, nie każdy wytrzymuje takie warunki na dłuższą metę. Ale główna przyczyna leży gdzie indziej. Budują różne zakłady przemysłowe i gdy kończą, z reguły czwarta lub trzecia część załogi, niekiedy nawet połowa z tych, którzy budowali zakład, przechodzi do pracy w tym zakładzie. Więc przez 25 lat obok budowania prowadzą niestanny werbunek ludzi, uczą ich różnych zawodów, kształcą i dokształcają, zapoznają z techniką, wdrażają do dyscypliny pracy. A potem część murarzy i betoniarzy, montażystów i operatorów przekształca się w metalowców, garbarzy, cukrowników, dzielników. Nie ma ani ekonomicznych, ani dyscyplinarnych środków, aby ten ruch ludzi powstrzymać. Zresztą tamte fabryki też potrzebują ludzi, też muszą produkować. Więc gdy chodzą i patrzą na fabryki, cieszą ich nie tylko mury i maszyny, które postawił, ale i to, że w te obiekty techniki żyje. To może brzmieć słownie, ale taka jest prawda i dobrze, że jest taka. Polska musi się rozwijać na każdym odcinku, nie tylko budowlanym.

Jeden z kierowników budowy ujmuje się z kolei za tzw. chłoporobotnikami. W powszechnym odczuciu słowo to brzmi pejoratywnie, a co najmniej lekceważąco. A prawda jest taka, że bez nich nasze budownictwo, nie tylko przemysłowe, musiałoby znacznie skrócić rejestry swoich osiągnięć. Często operuje się stereotypem, że chłoporobotnik na budowie odsypia noc, przepracowaną na swoim gospodarstwie rolnym. W rzeczywistości to się zdarza rzadko, chociaż prawdą jest, że w czasie ślewów czy żniw wielu z nich trzeba zwolnić z pracy na budowie, bo ostatecznie bez jakiejś fabryki można się obejść, ale bez jedzenia? Ci chłoporobotnicy z reguły są dobrymi robotnikami, a w domu są jakby tylko kierownikami gospodarstw, którym prowadzą ich żony i dzieci, co nie zawsze doceniamy. Gdybyśmy mogli szybko zbudować w miastach odpowiednią liczbę mieszkań, wielu z nich chętnie przeniosło by się do miasta na stałe.

To zjawisko ulegnie kiedyś samolikwidacji, tań jak zniknęli z budów niezastąpieni — wydawało się swego czasu — wożacy. Były lata, gdy na budowach LPBP pracowało do dziesięciu tysięcy wożaków. Na mniejszych lub większych furkach wożali ziemię, cement, kruszywo i wszystko inne. Bywało, że wozy np. na budowie cementowni w Rejowcu grzeźły w bloce z margla na dwa, trzy dni. Dzisiaj nie ma już kopaczy, nie ma wożaków, odpadła olbrzymia ilość papierkowej roboty. W tej chwili na budowie lubelskiej FSC jedna koparka daje sobie radę z 13 tys. metrów sześciennych ziemni w ciągu 3 tygodni, a wszystko przewożą samochody, z których każdy zastępuje 15—20 wożaków.

Miernikiem postępu, jaki dokonał się nie tylko w naszym budownictwie, jest technika. Można by tu przedstawić różne zestawienia. Ale chyba najbardziej wymownym jest fakt, że dzięki tej technice LPBP zatrudnia dzisiaj dwa razy mniej ludzi niż np. przed dwudziestu laty, a wykonuje przynajmniej dwa razy więcej roboty. I to znacznie trudniejszej.

LPBP jest jedynym w kraju przedsiębiorstwem, które wybudowało kilka cementowni i dwie cukrownie. Kiedyś wyspecjalizowało się też w tzw. metodzie ślizgowej, szczególnie użytecznej przy budowie dużych silosów. W warunkach poligonalnych, a więc dość prowizorycznych, produkuje

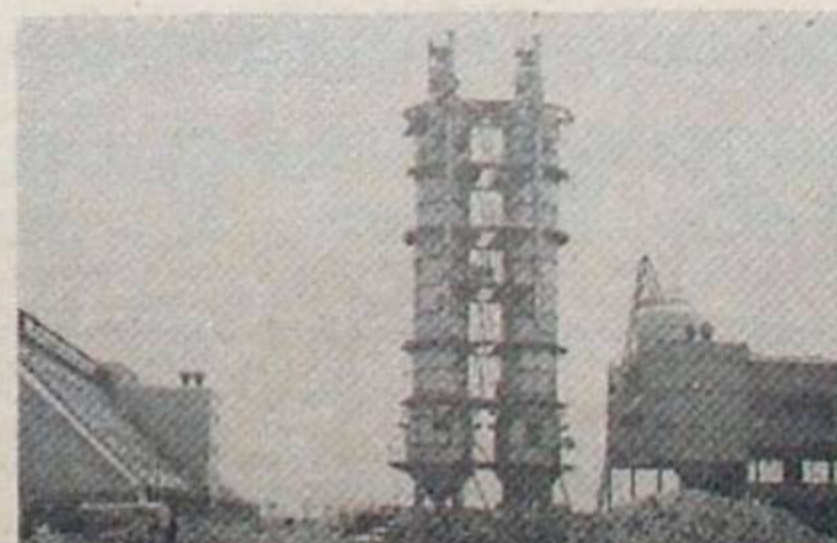
większe i lepsze prefabrykаты, niż wiele specjalistycznych wytwórni. Ostatnio zaś wypracowało się — jeżeli tak można powiedzieć — w skracaniu cykli produkcyjnych. Oto przykładowe z długiej listy oszczędności czasu: garbarnia we Włodawie — 43 dni, garbarnia w Lubartowie — 180 dni, chłodnia składowa w Lublinie — 450 dni, kołownia FSC, proszkownia mleka w Krasnymstawie i zakład mechaniczny WZGS w Lubartowie — po 30 dni, rozbudowa Zamojskich Fabryk Mebli — 170 dni, podobnie zakładów ceramicznych w Krasnymstawie, Fabryki Łożysk Toczących w Kraśniku — 90 dni, o cukrowni w Krasnymstawie pisaliśmy w poprzednim numerze „Kamery”. To wszystko da się przeliczyć na produkcję wielu setek milionów złotych, wprawdzie zapisanych w bilansach innych przedsiębiorstw, ale stanowiących przedmiot słusznej dumy załogi LPBP.

Nie zadawała natomiast moich rozmówców układ stosunków, jaki wytworzył się na linii generalny wykonawca — podwykonawcy. Źródła sięgają jeszcze okresu, gdy z LPBP i jemu podobnych przedsiębiorstw zaczęło wyodrębniać tzw. przedsiębiorstwa specjalistyczne. Założenie specjalizacji było słuszne, ale praktyka dość często okazała się niesłuszna. Po pierwsze dlatego, że każde z przedsiębiorstw podwykonawczych dba przede wszystkim o własne interesy, o własny plan, o własny zysk. Mówimy słusznie, że Polska to nie federacja województw, ale jedna całość. W budownictwie powinno być tak samo, a często nie jest. Generalny wykonawca nie ma z zasady żadnej „władzy” nad podwykonawcami, z których w dodatku niemal każdy należy do innego zjednoczenia. Podwykonawca, mając np. piętnaście budów, może zaważyć robotę na dziesięciu, na pięciu zaś zrobić poważne nadwyżki — i będzie chwalony, wypracuje zysk, otrzyma premie. Drugi podwykonawca zrobi nadwyżkę na pięciu innych budowach, zaniedbując dziesięć pozostałych budów — i też jest w porządku. A przecież gospodarka jako całość ponosi

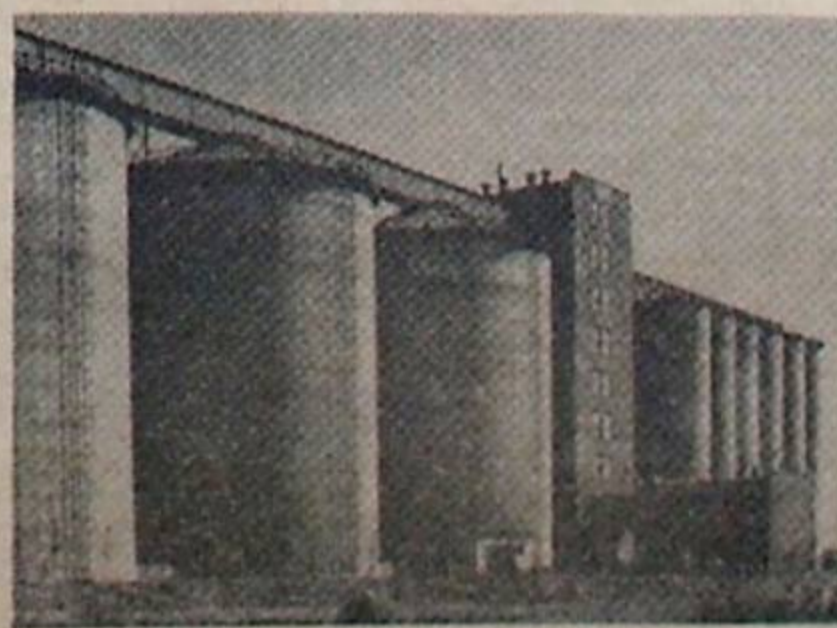
PONAD PIRAMIDY

straty, niektóre obiekty wchodzi do produkcji z opóźnieniem.

Te sprawy znane są resortowi budownictwa, mówi się o tym na wielu naradach. Resort stosuje różne środki zaradcze, ale jakoś nie może się dopracować pełnej reformy — administracyjnej czy ekonomicznej, wszystko jedno. Ostatnio np. propaguje się tzw. rady budowy, złożone z przedstawicieli inwestora, generalnego wykonawcy i podwykonawców. Już sam fakt powoływania takiej rady świadczy o tym, jak słaba jest pozycja generalnego wykonawcy. Ale i rada nie znajduje się w lepszej — w gruncie rzeczy mówi się o intencjach, składa obietnice. Niektórzy się z nich wywiązują, niektórzy nie i wobec tych ostatnich nikt z rady nie może wyciągnąć żadnych konsekwencji.



Budowa Cukrowni Krasnystaw



Budowa Elewatora Zbożowego w Lukowie

Fot. A. Polakowski



Budowa Cementowni Chełm II

Fot. A. Polakowski

Gdy np. jakiś obiekt się zawali, w sprawę wkracza prokurator i winni zostają ukarani. Ale prokurator nie może być stałym nadzorcą budownictwa. Na jednym z obiektów w FSC po zbudowaniu konstrukcji — zgodnie z dokumentacją, co wszyscy potwierdzali — i położeniu części dachu konstrukcja zaczęła się ugiąć. Wezwano projektantów i przez prawie trzy miesiące trzeba było czekać na nową dokumentację. W życiu nie ma cudów i projektant też może zrobić błąd. Ale pierwotną dokumentację ktoś nie tylko opracował, ale ktoś inny sprawdził, ktoś tam jeszcze weryfikował, ktoś inny zatwierdzał. Wygląda, że wszystko odbyło się na zasadzie złożenia podpisu bez zbadania istotnych szczegółów. Dlaczego cała sprawa, zresztą nie tylko ta, jakoś się rozplynęła, dlaczego nikogo nie pociągnięto do odpowiedzialności chociażby w formie okresowego odebrania uprawnień budowlanych?

Zresztą tej odpowiedzialności, szeroko rozumianej, brakuje także w innych dziedzinach. Budownictwo ma dzisiaj dużo sprzętu. Pozornie wydaje się on prosty, nawet toporny, a w gruncie rzeczy są to mechanizmy skomplikowane, wymagające prawidłowej obsługi i w czasie pracy i po jej zakończeniu. Tymczasem szkolenie operatorów ogranicza się do nauczania obsługi pracującego sprzętu. Gdy coś się popsuje, trzeba zatrzymać robotę na całej budowie i czekać na mechanika. Dlaczego operator nie jest mechanikiem? Niech się szkoli dwa razy dłużej, ale niech będzie samodzielny, niech ma do dyspozycji zapas podstawowych części zamiennych. Są tacy, bo sami chcieli się nauczyć i kierownicy budów znając ich, używają wszelkich możliwych podstępów wobec dyrektora, aby właśnie ich otrzymać. Dlaczego nie przeszkolili się do końca wszystkich, powierzając wszystkim maszynę, milionowej wartości? Niedawno na budowie cukrowni Krasnystaw niedouczony operator w ciągu trzech tygodni poważnie zniszczył dźwig — i znów nikt nie był odpowiedzialny...

Z uznaniem wyrażają się moi rozmówcy o atmosferze pracy w LPBP, o dobrej organizacji pracy, o dbałości o sprawy socjalne załogi. Są coraz lepsze hotele robotnicze, warunki dojazdu do pracy. Przedsiębiorstwo wybudowało samo sobie trzy bloki mieszkalne w Lublinie, ostatnio zawarto porozumienie z Lubelską Spółdzielnią Mieszkaniową na budowę — całkowicie poza planem — jeszcze jednego bloku, w którym budowlani otrzymają większość mieszkań; budowlani to znaczy pracownicy LPBP i jego stałych podwykonawców.

Tu warto chyba dodać, że LPBP w ciągu 25 lat swego istnienia poza obiektami przemysłowymi wybudowało około 10 tys. mieszkań, 20 szkół i przedszkoli, 7 szpitali itd., w sumie 230 obiektów użyteczności publicznej.

Rację ma więc załoga, będąc zadowolona ze swojej pracy. Ale jeszcze większą rację ma wtedy, gdy przejawia apetyt na więcej, chce w tym roku przekroczyć po raz pierwszy miliard złotych w wartości produkcji ogółem, gdy mówi o brakach, o sprawach, które trzeba poprawić. Bo to znaczy, że zależy jej nie tylko na dobrym imieniu przedsiębiorstwa, ale i postępie w całym budownictwie.

Zanotował:
Jerzy Dostatni

W rozmowie brali udział: Wacław Basista, Halina Bieganowska, Adam Fioł, Mieczysław Jasiński, Piotr Krzemień, Zenobiusz Kuzniarski, Zbigniew Maliszewski, Zdzisław Marzec, Józef Polak, Kazimierz Siwek, Bolesław Sobiech i Antoni Tułka. Spotkanie zorganizowała Rada Zakładowa.

WOLAŁABYM tak gospodarować sobie pol-
chu, a nie siebie osławiać, ludzie i tak mi
zazdroszczą, że sama z dziećmi zostałam,
a gospodarstwu upaść nie pozwoliłam i
jeszcze wyprowadziłam przed wszystkich. W
pierwszej chwili, gdy zmarł mąż, myślałam, że nie
dam rady. Pracy dużo było, a robić nie miał kto,
bo dzieci małe i dla nich mieliśmy takie piękne
plany. — Janina Puchała zamyśla się i po chwili
dodaje: — No i co pan powie? Janeczka jest już
na czwartym roku medycyny w Lublinie, a Zby-
szek, chociaż na niego spadło wspólne nasze gospo-
darowanie, już tylko trzy semestry będzie jeździł
do zaocznego Technikum Rolniczego w Pszczelnej
Woli, maturę zda i jeszcze Wyższą Szkołę Rolni-
czą skończy, a gospodarstwo podniesie.

Teraz kłopot mam i ze Zbyszkiem nie wiemy,
wyrwać już buraki, czy zaczekać, może jeszcze
dojda? Ale liście schną w tym roku wcześniej niż
w poprzednie lata, bo deszcze nie nadrobiły, za
późno przyszły. Co będzie lepiej, teraz odstawić
i wziąć dużą bonifikatę, czy zostawić jeszcze w
ziemi, zaczekać aż zgrubieją, a wtedy, choć bez do-
datku, też wziąć duży pieniądź? W tyle za innymi
też bym nie chciała pozostać. U mnie zawsze
wszystko pierwsze było. Hydrofor, woda doprowa-
dzona do domu i wszystkich zabudowań, żeby lepiej
było, a było nie upragnęło, poidła pierwsza w
okolicy miałam. Panie, jaka to wygoda! Na jed-
nastu i pół hektarach rak silnych trzeba, gdzie
też można, trzeba mechanizować. Teraz traktor
nowy odliczałam, sto dwadzieścia tysięcy, już przy-
dzielony, jak tylko przyjdzie, to stary sprzedam
i wsiadę na ten polski. To dużo, że mamy ciągnik,
że będziemy mieli lepszy i szybszy. O łazienkę też
pierwsza we wsi zbudowaliśmy, o wygodę w do-
mu zadbał. Teraz wymienię starą pralkę na
te nową, co sama wszystko robi, nawet wysuszy,
tylko jak tu, panie, ją dostać? Chłopcu kupiłam
syronek — lux, żeby się ziemi trzymał, kiedy
chciał miasto mieć, ale mieszkać i gospodar-
zyć w Czólnie. Po co mu się pchać do tych ka-
mien, nie weryje ich, ani się nimi nacieszy.
Dobre mam dzieci, Janka teraz pojechała do Bu-
rarii i na Węgry, na studenckie wczasy, ale jak
tylko wraca do domu, czy to na wakacje, czy to
na sobotę — niedzielę, albo jak większa robota,
zaraz szuka sobie pracy, żeby nam użyć. A Zby-
szek, on to już pilnuje gospodarstwa, jak ja sama.

Pamiętam, jak to przed dwunastoma laty kło-
tać się musiałam, żeby dzieci miały co zjeść,
żeby ich na ludzi wprowadzić. Ale sąsiedzi po-
magali, wspierali, miałam wtedy trzydzieści czte-
ry lata, wszystko dla tych dzieci poświęcałam, to
one wiedzą i uszanują. Żeby tylko Zbyszek tą sy-
ronką tak szybko nie jeździł, bo dziś jeden jego
kolega na motocyklu się rozbił i posotowie przy-
jechało po niego. Jeszcze teraz dojarke chce ku-
nić, żeby ręką użyć, więcej czasu mieć dla sie-
bie, bo od pracy społecznej też uciec nie można.
W ubiegłym roku zrezygnowałam, przez dwadzie-
cie lat byłam przewodniczącą Koła Gospożek Wie-
jskich, ale kobiety nadal do mnie przychodzą,
zawsze coś do mnie mają.

Ach, jak my to we wsi rozrabiali! Konkursy
jabłec, i to do dziś wszystko działa, chociaż odkad
Pielisze przestały być powiatem, mojej zaintereso-
wania widać, Lublin pewnie się jeszcze z tym
wszystkim nie oswoił, kontroli nie ma i nagradza-
nia tych akcji. Zorganizowałam konkursy: „Więcej
mleka wysokiej jakości”, „Więcej warzyw, owoców
i kwiatów”, zespół przysposobienia rolniczego. Sa-
ma skończyłam, i syn skończył, i wielu młodych,
także starszych. Mamy tutaj kwalifikowanego rol-
nika. Ale kobiet nie udało się wszystkich wcią-
nąć do tego. Tu się traktuje tak, że niby uczenie
się dla starszych jest bez potrzeby. U mnie oprócz
„Sztandaru Ludu” jest „Pion”, „Młody Rolnik”,
„Trzoda Chlewna”, „Drobnarstwo”, „Agrochemia”
i wszystko to z synem czytamy, przydaje się.
Zorganizowałam też kurs traktorowy i samocho-
dowy. Samochoodem gdzieś daleko pojechać, to się
jeszcze boję, ale muszę, bo czasem nagle do Lub-
lina wzywają, albo do gminy, muszę się odwa-
żyć. Zostałam wojewódzką radną, nie tylko na
sejcie i komisję, ale i ludziom trzeba coś od czasu
do czasu załatwić. Pośpiech potrzebny, żeby czasu
nie tracić.

Ziemia nie jest najlepsza, klasy drugiej jest ma-
ło, trzeciej też niewiele, najwięcej czwartej. Na
buraki trzeba wybrać najlepszą, na pszenicę rów-
nież. W ostatnich latach posypujemy mniej więcej

po 240 kilogramów nawozów na hektar, na jedne
kawałki mniej, na inne więcej, wedle potrzeby. Ale
żeby otrzymać z takiej roli 36 kwintali zbóż, 240
ziemniaków, a 490 metrów buraków, to już trzeba
koło tego chodzić i ziemi pomagać. Zapisalam się
na kontraktację wieloletnią, to chcę z trzech hek-
tarów pszenicy i żyta odstawić, z hektara rzepa-
ku i tyle samo buraków, i z półtora hektara na-
sion trawy „Kostrzewa”, i jeszcze bym chciała do
tego z pół hektara wczesnych ziemniaków dolożyć,
bo widać, że się oplaca. A przecież nie mogę
wszystkiego sprzedawać, jeżeli chcę wyżywić krowy
i odstawić dziesięć tysięcy litrów mleka rocznie.
Mleko dają dobre, od 4,6 do 3,6 procent tłuszczu,
ale tego lenszego mleka jest najwięcej, bo dobra
rasa. Trzody mniej będę hodować, nastawiam się
na buhajki. Co roku odstawiam cztery, pięć sztuk,
a każdy powyżej pięćset kilo, krowy to mam trzy
z jednostronnym, a dwie z dwustronnym raso-
wym pochodzeniem. Są jeszcze dość młode, ale
za rok, za dwa wymienię i pozostałe na wyższą
rasę. Oborę mam zmodernizowaną i pod kontrolą
fachowców. To są obowiązki. Co roku biorę też
sto piskląt, kogutki mam dla siebie, a kury dają
jaja, żeby był zawsze świeży grosz na zakupy.

Zawsze czytam, i na kursach się uczyłam, albo
na wycieczkach, gdy mnie wysyłano, słyszałam, że
gospodarkę trzeba ukierunkować, że wszystkiego
po trochu robić nie można. Ja ze Zbyszkiem chce-
my, żeby gospodarstwo dawało na rynek dużo
mleka i mięsa wołowego. Na czwartym plenum par-
tii też teraz dużo mówiono o tym, żeby więcej
zboża, mięsa i mleka dawać. No, to my tak ro-
bimy. I jeszcze wielu w naszej wsi tak gospodar-
zują. Tylko czy to wystarczy, tylu ludzi w miastach?
Myślę, że będzie lepiej, w naszej gminie służba
rolna dobrze naprowadza na trop, częściej ich

teraz widać u nas po zlikwidowaniu powiatu. I
ludzie mniej czasu tracą, bo tej władzy teraz na-
czelnik i jego urzędnicy więcej mają, można za-
łatwić na miejscu, w Niedzwicy Dużej.

Niedawno w Urzędzie Wojewódzkim odznaczona
byłam Złotym Krzyżem Zasługi za tę moją robotę,
że to moje gospodarstwo tak prowadzę i że spo-
łecznie w mojej wsi coś robię. I na tej uroczysto-
ści i sekretarz Wójcik też nawoływał, żeby jak
najwięcej dać zboża, mleka, mięsa i jaj na rynek,
to samo mówiono w Warszawie na czwartym ple-
num i na dożynkach, na które mnie wysłano.
Jedno tylko miejsce na naszą okolicę było, Spół-
dzielnia Kółek Rolniczych mnie wytypowała, zresz-
tą i kobiety z naszej wsi mówiły: Jedź, Janka, do
Płocka. Nie wymawiałam się, ale czasem boję się
tego, że mam uznanie, bo najwięcej bym chciała,
żeby mnie ludzie na miejscu lubili i szanowali,
a nie w gminie i województwie. To tak jest, jak
trzeba było iść na kurs, żadna nie chciała, na
wycieczkę — nie umiała znaleźć czasu, praca spo-
łeczna — to żeby najwyższe na miejscu. Gdy ja
tak jeździłam czasem po tej naszej Polsce, dzieci
w domu przypilnowały i nie nie ucierpiało. Gdy-
bym nie pojechała, nie widziałabym jak gdzie in-
dzie już lepiej od nas gospodarzą, nigdy bym so-
bie chyba nie uzmysłowiła, że wodę warto mieć
w oborze, że poidła są dobre, że zboża podsypane
nawozem inne dają plony od tych, którym się
skąpi, że można nawet w starych zabudowaniach
robotę zmechanizować, a i samemu sobie dogodzić,
łazienkę wybudować i po ciężkiej robocie zmyć z
siebie całe utrapienie i zmęczenie odgonić. Może
bym też nie wiedziała, że dziecku, jeśli chce się je
utrzymać przy ziemi, miasta bronić nie trzeba, tyl-
ko je przybliżyć i samochód kupić. No, czy jaki
młody urzędnik, albo robotnik dziesiętnastoletni
już ma to, co Zbyszek, a kieszonkowego tyle może
mieć?

Kiedy sobie przypomnę rok tysiąc dziewięćset
pięćdziesiąty drugi, kiedy wyszłam tu do Czólna
za mąż i spojrzę na to, co teraz u ludzi, a nawet
w moim gospodarstwie, to jak dzień do nocy.
Więcej ludzi było we wsi, bo jeszcze ich miasto
tak nie ciągnęło, ale ziemia mniej wydawała. Zbo-
ża teraz z niej o wiele więcej, no chyba jeszcze
raz tyle, a i mleka, trzody i bydła także. A kto
słyszał, żeby zimą tyle jaj sprzedawać, co teraz?
Ludzie wiele zjedli na miejscu, a dziś kobieta na-
wet chleba sama nie upieczę. Więcej tego dajemy,
a jednak w miastach są kłopoty. Wtedy miejskich
było mało i mniej chyba potrzebowali, teraz trud-
no nastarczyć. U nas obecnie zupełnie inaczej się
żyje, właściwie jak my się ubierzemy, to niczym
się nie różnimy od miejskich. Zresztą, ile to wy-
kształconych dzieci teraz przyjeżdża w niedzielę,
albo na urlop? Tak sobie myślę, że nie tylko szko-
ła kształci człowieka, ale rozmowy z ludźmi, i śro-
dowisko, to na co się napatrzy dokoła i jak poje-
dzie gdzieś dalej. Ciekawa jestem tego, co gdzie
indziej, tylko nie żeby na to patrzeć w telewizjo-
rze, ale samej zobaczyć, jak jest okazja. Czasu za-
wsze jest jednak za mało, żeby światem się cie-
szyć.

Człowiek ma swoją ambicję i zawsze chce, żeby
coś zrobić lepiej od innych, ale czy wezmę kierow-
nicę traktora, czy widły, to wszystko muszę tymi
rękami, wszystko nimi, no i myśleć trzeba, co
i jak, gdzie i kiedy, w jaki sposób. Teraz, kiedy
Zbyszek dorasta, szkołę rolniczą kończy, już jest
łatwiej, co dwie głowy, to nie jedna. Człowiek się
stara, ludzie to widzą i jest mi z nimi dobrze, osła-
wiają nieraz, wysuwają do przodu, kiedy coś waż-
nego dla wsi i tak się żyje, tak jakoś to gospoda-
rowanie idzie do przodu.

JAK DZIEŃ DO NOCY

Tadeusz Jasiński

UCZYĆ I LECZYĆ

Dokończenie ze str. 1

— Egzamin testowy obejmuje 150 za-
dań z zakresu biologii, chemii i fizyki
na poziomie szkoły średniej. Każde z
nich składa się z pytania właściwego
oraz czterech wersji odpowiedzi; tylko
jedna jest prawidłowa. Uzyskanie mi-
nimum 35 punktów to zdany egzamin.
O przyjęciu na studia decyduje suma
punktów zgromadzonych w trakcie eg-
zaminów testowych i z języka obcego
oraz tych, które określają niektóre
stopnie ze świadectwa maturalnego,
charakter i staż pracy przez studiami,
miejsce zamieszkania, pochodzenie spo-
łeczne itd.

— Nie macie kłopotów z definiowa-
niem owego pochodzenia?

— Mamy, oczywiście, że mamy. I
choć są to znane problemy, występu-
jące na innych uczelniach, to przecież
nierzadko komisje egzaminacyjne mu-
szą na własną rękę formułować kry-
teria społecznej przynależności. Proszę
powiedzieć, jaka jest różnica społeczna
między sprzedawcą a kierownikiem
sklepu spożywczego?

— Kierownik rzadziej tachę skrzyń-
li z towarami?

— No właśnie. W bardziej skompli-
kowanych przypadkach odwołujemy się
do opinii Wojewódzkiej Rady Związ-
ków Zawodowych, której przedstawi-

ciel zasiada w komisji egzaminacyj-
nej.

— Panie Rektorze, słyszy się za-
rzuty, że system testów preferuje ku-
jonów, nie daje okazji do sprawdzenia
indywidualności kandydata na studia,
uchwycenia jego osobowości i mental-
ności. Co w tym jest.

— Testy dotarły do nas z Zachodu,
gdzie jak wiadomo komputery podej-
mują wiele różnorodnych decyzji. Jako
technika weryfikacji wiadomości wpa-
jących w szkole i wymaganych pod-
czas egzaminów wstępnych na studia
medyczne — okazały się bardzo przy-
datne. Zdaje Pan sobie sprawę, jakiego
rodzaju naciski społeczne towarzyszą
rekrutacji na tego rodzaju studia. Nie
tylko u nas Francuzi opowiadają so-
bie taki dowcip: zapytany o kolor koń-
skiej sierści, syn prezydenta republiki
odpowiada „zielony”. A nie pozbawio-
ny refleksu egzaminator reaguje na to
tymi słowami: „tak, rzeczywiście końki
pełny ma kolor zielony, zwał pan”.
Test jest jedyną obiektywną formą
sprawdzenia wiedzy kandydata na stu-
dia.

— Obiektywną i mechaniczną.

— Byłoby idealnym, gdyby pracow-
nicy Akademii brali udział w egzami-
nach maturalnych. Ale na przeszko-

dzie tego żywego kontaktu z młodzie-
żą stoi brak kadry. Istnieje inne roz-
wiązanie: bezwzględnie zachowując
testy, przeprowadzać dodatkowo z kan-
dydatami swobodne rozmowy na róż-
ne tematy, nawet bardzo odległe od
treści zasadniczego egzaminu. W ta-
kich pogawędkach młody człowiek
miałby okazję pełniejszej prezentacji.

— Na Wydziale Lekarskim z ogólnie-
niejszych względów uczelnia utrzymu-
je proporcje „pół na pół”: 50 procent
to dziewczęta... A jak wygląda ta spr-
awa na pozostałych kierunkach?

— Na 90 słuchaczy pierwszego roku
farmacji jest tylko sześć kobiet. Pielę-
gniarstwo studiuje same kobiety.
Zaledwie dwóch przedstawicieli płci
brzydkiej zdecydowało się na stomato-
logię.

— Ja bardzo przepraszam, ale rwa-
nie zębów przez panie nie za bardzo
mi odpowiada.

— Gdyby nie racjonalna polityka
resortu, na Wydziale Lekarskim także
dominowałyby kobiety. Wydaje się, że
lepiej uczą się w szkołach średnich,
wyraźniej i wcześniej konkretyzują
osobiste cele życiowe.

— Mam na ten temat zupełnie in-
ne zdanie, lecz zamilczę tym razem.

Powracając do kwestii pochodzenia: z
jakich warstw społecznych rekrutują
się słuchacze pierwszych lat Akademii
roku 1976/77?

— 40 proc. przyjętych na studia le-
karskie legitymuje się pochodzeniem
robotniczym lub chłopskim. Na stoma-
tologii ten wskaźnik osiąga 50 proc.,
na farmacji — 60, a na pielęgniar-
stwie — 80.

— Czy uczelnia orientuje się, jakie
motywacje towarzyszą tej młodzieży
w momencie wyboru studiów medycz-
nych?

— W grupie, która pracowała w
służbie zdrowia przed egzaminami do
Akademii, stwierdzamy motywacje po-
zytywne. Felczerzy, część pielęgniarek
— ci ludzie dostrzegają w przyszłej
profesji m. in. możliwość niesienia po-
mocy innym, źródło osobistej, głęboko
humanistycznej satysfakcji. Niektórzy
liczą na to, że wraz z dyplomem zys-
kają na prestiżu społecznym.

— Tak... Doświadczony lekarz z
pewną małą miłośniczynią na Lubli-
czynie tak odpowiedział mi na pyta-
nie, dlaczego nie szuka szczęścia w du-
żym ośrodku: „bo tutaj, drogi panie,
mnie wystarczy znać i w związku z tym
nie muszę stać w kolejce po to i tam-
to, po przydział na materiały budow-

Powrót Maryli

Istvan Grabowski

NIE poddała się nastrojom pesymizmu i zwątpienia, kiedy część dawnych wielbicieli przestała wykazywać zainteresowanie dla jej piosenek. Nie tworzyła też wokół siebie hałaśliwej reklamy aby odzyskać dawną popularność. Powrót w nimbie sławy nastąpił za sprawą przyczyn zupełnie obiektywnych. Maryla Rodowicz — bo o niej właśnie mowa — powróciła na estradę dzięki rzetelnej pracy nad sobą i własnym repertuarem. Jeszcze pół roku temu oazywały się w prasie głosy, krytykujące ją za komercjalizm, brak ambicji i odcierwanie się od słuchacza. Dziś tego typu sformułowania wydają się być mocno nieaktualne. Świadczy o tym aż nadto aplauz publiczności, kiedy Maryla pojawiła się na scenie tegorocznego festiwalu w Opolu. Jej występ był obok programu Rosiewiczza jednym z jaśniejszych momentów mocno nuciącego festiwalu, a jej najnowsze szlagiery „Sing-sing” i „Dama być” nuci dziś cała Polska.

Zadebiutowała jako studentka AWF na studenckiej, ma się rozumieć, estradzie. Z gitarą i dwoma muzykami z nieistniejącej już grupy „Szejtany” próbowała śpiewać piosenki w stylu folk i country. Moda „zielonej fail”, jaka nawiedziła wówczas Europę, wyraźnie sprzyjała jej poczynaniom. Wykonywała więc obok własnych piosenek utwory Boba Dylana, Pete Seegera, Woody Guthrie. Stąd też wkrótce nazwano ją polską Jean Baez. Bywała częstym gościem klubów studenckich i przeglądów kultury studenckiej. Śpiewała w radiu, telewizji, nagrała nawet płytę długografiacą.

Chwalono ją za liryzm, za ciepło głosu i ambitne teksty. Zdobywała powoli popularność. Później przyszła współpraca z Katarzyną Gaertner i seria udanych przebojów, dzięki którym kreowano ją na gwiazdę. „Z tobą w górach”, „Ballada wagonowa”, „Jadą wozy kolorowe”, „Małgośka” — oto przeboje, kojarzące się natychmiast z nazwiskiem M. Rodowicz. Jak na prawdziwą gwiazdę przystało, nabrała Maryla coraz więcej cech profesjonalistki, miała stałych kompozytorów, tekściarzy i stałą publiczność, oczekującą coraz to nowszego przeboju. Śpiewać same przeboje niełatwo, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę partyzanckie metody działania naszego show businessu i wymagające gusta słuchaczy. Toteż nie wszystkie późniejsze utwory piosenkarki od razu stawały się szlagierami, tym bardziej, że pracowała ona zrywami, nie zawsze dokładnie i realnie oceniając konkretne zapotrzebowania i możliwości. W

efekcie — coraz częściej usuwał się jej grunt pod nogami, występy nie przynosiły spodziewanych rezultatów, mimo iż wkładała w nie wiele pracy. Cóż robić, kiedy wykonawca nie bardzo radzi sobie z krajową publicznością?



Fot. P. Karpiński

cia? Rada może być tylko jedna — odnosić sukcesy za granicą. Rodowicz próbowała tej szansy i nie zawiodła się. Obiektami jej frontalnego ataku były dwa kraje: NRD i Czechosłowacja. Zarówno w jednym jak i w drugim publiczność przyjęła Marylę niezwykle serdecznie, a wydawane tam albumy szły jak woda. Szczególnym powodzeniem cieszyła się w Czechosłowacji, gdzie nawet spędziła ponad dwa lata. Płyty, koncerty i programy telewizyjne przysporzyły jej tam nowych wiel-

bicieli, podczas gdy zniknęła niemal zupełnie z oczu polskiej publiczności. Kiedy powróciła do kraju, kontakt z rodzinnymi autorami był mocno osłabiony. Lata 1972—1973 były dla Rodowicz okresem impasu, gdyż straciw-

szy część wielbicieli, nie potrafiła pozyskać nowych. Próba wyjścia z niego miał być udział w Festiwalu Piosenki w Sopocie (doceniony przez jury — nagroda Grand Prix za utwory „Małgośka” i „Diabeł i raj”) oraz trzeci z kolei album „Rok”, nagrany z towarzyszeniem wielu popularnych muzyków. Niestety, sukces z Sopotu przeszedł bez echa, a płyta, jakkolwiek przebojowa, nie znalazła zbyt wielu nabywców. Nic dziwnego, gdyż solist-

ka aż do znużenia powtarzała te same, mocno już oklepane wzory. Dlatego też tak wiele uwag posypało się pod jej adresem.

Aktualny, ponowny sukces zawdzięcza Rodowicz współpracy z niezwykle uzdolnionym kompozytorem, aranżerem i pianistą — Jackiem Mikułą, pełniącym obowiązki szefa muzycznego nowej grupy instrumentalnej wokalistki. Z jego pomocą przystąpiła do intensywnych prób. Praca nad dykcją i właściwą emisją głosu plus oryginalne pomysły brzmieniowe musiały przynieść w końcu efekty. To właśnie dzięki nim słyszymy dziś Rodowicz inną niż poprzednio. Nowe kompozycje pozwoliły artystce ujawnić skrywane dotąd świetne warunki głosowe. Stąd jedyne w swoim rodzaju aktorskie interpretacje piosenek. Myślę, że sukces Maryli Rodowicz jest doskonałą lekcją na przyszłość nie tylko dla niej, ale też dla wielu podobnych jej gwiazd, poszukujących gwałtownie własnego oblicza.

GARMONDEM

PRZYCHODNIA lekarska przy ul. Hipotecznej w Lublinie: stary obiekt, z tradycjami, ciasnawy, pełen przepierzeń, ścianek działowych. Dwie bramy, dwa piętra, kręte korytarze. Nowe przychodnie mają obszerne i jasne poczekalnie, są ładniejsze, przyjemniejsze „w dotyku”. Pod jednym i chyba najważniejszym dla pacjenta względem przychodni przy Hipotecznej jest bardziej nowoczesna od niejednego nowego obiektu naszej służby zdrowia. Chodzi o szacunek dla czasu i nerwów chorego. Na zastrzyk czeka się tam przeciętnie 5 minut, na przyjęcie przez reumatologa — 8 minut, na wizytę u laryngologa — 9 minut, na prześwietlenie płuc — 12 minut, na pobranie krwi do analizy — od 8 minut do kwadransa. W przychodni przy ul. Hipotecznej można zatem zbadać się dokładnie, otrzymać poradę lekarską i zastrzyk — w niecałą godzinę. To nie bajka, rzecz całą sprawdziłem na sobie samym. Kilkakrotnie. To nie cuda, to dobra organizacja pracy.

TG

lane także”. Przy okazji przypomniał mi się inny lekarz, młody, który praktykując w większym ośrodku zdrowia zwykł był osłuchiwać pacjentów przez np. kożuch czy kufajkę chorego... Natomiast pewna młoda lekarka, pani S., z przychodni na lubelskiej Kalinowszczyźnie przyjmuje pacjentów godzinę czy nawet dwie dłużej, niż musi. Cisną się do niej ludzie, jak do dobrej matki.

— Rozumiem intencje tej dygresji i chcę mocno podkreślić, że kształtowanie odpowiednich postaw etycznych wśród studentów to pierwszorzędne zadanie naszej pracy wychowawczej. Wiadome sprawy poruszamy podczas zajęć z propedeutyki i etyki lekarskiej, medycyny sądowej, historii medycyny, a także socjologii, psychologii, filozofii czy nauk politycznych. W przyszłym roku organizujemy sesję poświęconą postaci i działalności Biegańskiego, znakomitego lekarza, serdecznego człowieka. Opracowaliśmy szczegółowy program działalności ideowo-wychowawczej na lata 1975—1978, który przewiduje m. in. omawianie spraw młodzieży przy udziale jej przedstawicieli. Przeszczególniamy zasady partnerstwa na linii nauczyciele akademicy — studenci.

— Takie są generalia...

— Schodząc na grunt konkretnych chciałbym tylko wspomnieć, że od czterech lat młodzież akademicka dokonuje cyklicznie oceny pracowników naukowych, a rezultaty owej cenzurowania są przez nas bliźnio analizowa-

wane. Oczywiście, tego rodzaju ankiety są anonimowe. Ponadto: rok temu wszystkie sprawy dyscyplinarne przekazałem sądom studenckim. Ostre to sądy, nie raz przychodzi je hamować. Ale skuteczne... Studenci uczestniczą także w posiedzeniach senatu, kolegiów dziekańskich, rady szkoły do spraw młodzieży, rady pedagogicznej...

— Czy Akademia Medyczna w Lublinie, jako samodzielna uczelnia istniejąca od 1949 roku, zaspokaja zapotrzebowanie regionu na lekarzy, magistrów farmacji i pielęgniarstwa?

— Akademia nasza jest odpowiedzialna za sześć województw: białkopodlaskie, chełmskie, lubelskie, przemyskie, radomskie i zamojskie. Kształcimy dostateczną liczbę lekarzy medycyny i farmaceutów. Gorzej z pielęgniarzkami, co zrozumiałe wobec faktu, że uczelnię opuściła dopiero pierwsza grupa absolwentek. Natomiast zapotrzebowania na stomatologów nie zaspokoimy ani jutro, ani w dalszej przyszłości. Ten kierunek studiów był bardzo potrzebny, zresztą oddział powstał w efekcie realizacji jednego z postulatów naszego społeczeństwa, skierowanych na VI Zjazd Partii. Chciałbym przy tym podkreślić wysiłek władz wojewódzkich Lubelszczyzny, które zapewniły stomatologii baze lokalową. Za rok pierwsi absolwenci oddziału opuszczą Akademię. Czy wie Pan, że na obszarze b. województwa lubelskiego, tego serdecznej reformy terytorialnej, wakażnik obsady stomatologów był o 50 proc. niższy

od średniego dla kraju?! Takie proporcje są zresztą nadal aktualne.

— Proszę scharakteryzować warunki lokalowe uczelni, jakoś aparatury medycznej etc.

— W tym roku na modernizację aparatury wydamy 36 milionów złotych. Do końca grudnia w PSK 4 zostanie zainstalowana, jako jedyna we wschodniej Polsce, aparatura diagnostyki radiologicznej serca i naczyń, zakupiona w RFN za 400 tys. dolarów. Uruchomimy ośrodek reanimacji i intensywnej terapii ogólnej, którego wyposażenie — znanej firmy USA — kosztowało ok. 6 milionów złotych dewizowych... Baza lokalowa poprawia się, fakt, ale w stosunku do potrzeb wynikających z procesu dydaktycznego jest jeszcze za mała. Dwa duże szpitale kliniczne mieszczą 1800 łóżek, co przy obecnej liczbie studentów zmusza nas do korzystania, odpłatnie, z takich szpitali lubelskich, jak wojewódzki zespółony, wojskowy, MSW, kolejowy. Prowadzimy w nich ćwiczenia ze studentami i inne zajęcia programowe. W ubiegłym roku między Akademią a Urzędem Wojewódzkim w Radomiu zostało podpisane porozumienie o współpracy. Radom udostępnił swój szpital wojewódzki oraz instytucje lecznictwa otwartego dla szkolenia studentów Wydziału Lekarskiego AM, pokrywa koszty ich wyżywienia i zakwaterowania, zapewnia rozrywkę kulturalną etc. Już 500 studentów wyprawiliśmy autokarem do Radomia... Natomiast uczelnia umożliwia leka-

rzom województwa radomskiego odbywanie stażów specjalistycznych w instytutach Akademii, uzyskiwanie stopni naukowych doktora i doktora habilitowanego, a ponadto sprawuje nadzór specjalistyczny nad szpitalem wojewódzkim w Radomiu. Obie strony czerpią więc duże korzyści z tej współpracy. Podobne szkolenie mamy zamiar uruchomić w Puławach.

— Współpracujecie też z przemysłem i innymi typami instytucjami. Na jakich zasadach?

— Wzajemnych korzyści. Współdziałamy m. in. z lubelską FSC, Urzędem Wojewódzkim, „Pronitem”, „Polskimi Odczynnikami Chemicznymi”, „Polskimi mi Uzdrawiskami”, z Zakładami Przemysłu Farmaceutycznego „Polfa” (dla których opracowaliśmy dziesiątki problemów). Służymy naszą wiedzą, naszymi umiejętnościami, w zamian otrzymując takie np. wartości, jak mikroskop elektronowy (około dwóch milionów złotych) od garbarni we Włodawie, jak 50 milionów złotych od Lubelskiego Zagłębia Węglowego — na modernizację Państwowego Szpitala Klinicznego nr 4.

— Dziękuję, Panie Rektorze, za rozmowę. No i zdrowia życzę w nowym roku akademickim...

Rozmawiał Ireneusz J. Kamiński

Musimy swoją Ojczyznę
pochłana różami i chlebem
wprzód nakryć własnym sercem
jak gdyby drugim niebem

JAN POCEK

ZAPOLIE

Nr 1 (26) 3 X 1976

KORRESPONDENCYJNY KLUB MŁODYCH PISARZY – OŚRODEK LUBELSKI PRZY ZW ZSMP

ROK X

BIESIADA PO RAZ TRZECI

Niniejszym numerem „Zapola” wznawiamy publikację naszej minitrybuny na łamach gościnnej „Kameny”, w atmosferze realizacji ambitnego programu, jaki nakreślił i uchwalił Kongres Młodzieży Polskiej.

Przed lubelskim ośrodkiem KKMP stoją zadania usprawnienia form działalności klubu, który osiągnął sukcesy określone apogeum swych członków, idące w parze z sukcesami szczególnie edytorskimi — jest na etapie dopływu „nowej krwi”, naboru młodych twórców oraz reaktywowania rozszerzonych kierunków działań.

Zadania te realizujemy m. in. poprzez organizację III lubelskiej biesiady KKMP w programie której rozkładamy równomiernie akcenty na treści literackie i plastyczne, odpowiadające twórczym zainteresowaniom członków ośrodka.

III Lubelska Biesiada KKMP, która odbędzie się w dniach 2–3 października br. w Puławach stanowić będzie spotkanie umożliwiający twórczą konfrontację.

Do udziału w III Lubelskiej Biesiadzie KKMP zapraszamy członków lubelskich ugrupowań młodoliterackich oraz kolegów z sąsiednich ośrodków KKMP. Spotkanie w Puławach stanowić ma bowiem element jedności i integracji w działaniu lubelskiego środowiska młodych twórców, a tego życzymy sobie wszyscy.

Marian Janusz Kawalko

* * *

Tej która we mnie —

nakryj mnie dzisiaj rzeką swoich włosów
niech mi odłonią dzikszą jeszcze miłość
i dzień którego w dzień dostrzec nie sposób
i noc jakiej dotąd przed Tobą nie było
niech mi odłonią to co już zwątpione
to czego nie mam a przecież mam nadto
niechaj rozpalą żagwie utajone
ogień niech zgaszą popiół zmienia w światło
niech się obróci wzdłuż Twoich bioder ziemia
czas niech zatrzyma się jak ptak w pułapce

nakryj mnie — proszę — włosów Twoich cieniem
nim Cię przystroję w wiersze
utrące

Jan Stefaniak

ŻYCIORYS — ZAŁĄCZNIK NR 9

Urodziłem się płacząc
że oni są za dziecinni tworząc mnie
na obraz i podobieństwo
palili ziola wonne przed ofiarnym kurhanem
odczytali uroki
wybierali drogową na rozstajnych drogach
Byłem pasterzem napelnionych siarką baranów
i kóz nie mających nic wspólnego
z nadzwyczajnością i wielkim wozem
przez cały czas rosłem
chcąc osiągnąć wielkość
godną zauważenia przez tobole smuklonogie
siadywałem w zadumie nad kraciastymi spodniami
które mi przekazał biblia dziadek Pafnucy
polatana rzeczywistość
Kiedy osiągnąłem już naszą erę
niespodziewanie odkryłem wiele ameryk
aż do wynalazku rozproszonego po całym świecie
siebie
cygański i słowiański byłem
tocząc piatko koła dylizansu
połem opatentowałem patent
butów ponaddwiekowych
i biżuterię czerwcowych świetlików

Kiedy sięgnąłem po niedosiężne
z rozważań stąpać
ołów pleców ciężki dźwiganem atlantów
i głębiej ziemi nóg korzenie

DEBIUT

Anna Grażyna Kister

* * *

Dopala się świeca...
To nawet nie temat
lecz czegoś żal.
Myślę o... wszystkim.
I może dziwnym jest
a może szalonym
oparć się na życie
jednym spojrzeniem.
Lecz: daje mi się,
że jest w tym racja,
której odrzucić
nie sposób.
I jest mi lekko,
choć płomień
jest już zaledwie
iskierką...

Jerzy Jedziniak

* * *

Szubaś ciepła
więc nie kamieniu
Słowa
Niech będzie pierwsze
w brzaskach świtu
Ptak świadomości
niech śpiewa
górkim strumieniem
i nie zastęga
bryła lodu
Do Słowa
przydaj Słońca

Niech będzie pierwsze

Janusz Borowicz

* * *

Kołysz mnie wietrze
giuche pnie i korony
uprowadź mnie
zegnij mój kark
oddaj pokłony
owocce dorodne
zostaw na drzewach
wtedy odnajdę zapach lata
odnajdę bogaty plon

NOTUJEMY

Od listopada ub. r. funkcję przewodniczącego Krajowej Rady Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy pełni kol. Edward Zyman z Katowic. Dotychczasowy przewodniczący, kol. Jan Zdzisław Brudnicki, zrezygnował z tej funkcji na własną prośbę, pozostając w Krajowej Radzie KKMP.

W przededniu Kongresu Młodzieży Polskiej odbyło się w Warszawie posiedzenie Krajowej Rady KKMP, którego przedmiotem była dyskusja nad programami pracy nowo powstałych ośrodków wojewódzkich KKMP, jak Jelenia Góra, Pila, Włocławek, Kalisz, Wałbrzych i in., a także doświadczeniami ośrodków z wieloletnią działalnością. Miała ona sprecyzować formułę działalności KKMP w nowych warunkach oraz odpowiedzieć na pytanie czego oczekujemy od ruchu młodzieżowego w nowej sytuacji.

W trakcie posiedzenia zabrał głos Marian Grzeszak z Komisji Młodzieżowej ZLP który w swym wystąpieniu wskazał m. in. na konieczność integracji ruchu młodoliterackiego w Polsce, w którym istnieją aktualnie grupy dyferencyjne różnych postaw. Pokolenie ma prawo do własnej biografii — stał konieczność wykładania własnych spraw poprzez publikację obok potrzeby szerszych dyskusji warsztatowych wraz ze światopoglądowymi i ideologicznymi — stwierdził mówca. Po VII Zjeździe Partii państwo otacza szczególnym mecenatem młodych pisarzy, których należy popularyzować, w atmosferze autentycznej konfrontacji wartości i demokratyzowania przywilejów literackich. Przed KKMP stoi zadanie znalezienia najwłaściwszej formy realizacji tych zadań, zakończył mówca.

W kolejnym, drugim almanachu literackim lubelskiego ośrodka KKMP pt. „Spotkania”, które ukazują się z okazji Kongresu Młodzieży Polskiej, opatrzonym wstępem Jerzego Jedziniaka i postawieniem Tadeusza Mocarńskiego oraz grafiką Jerzego Gawrońskiego, prezentowanych jest 21 autorów, których wyboru wierszy dokonał J. Jedziniak, Z. Strzałkowski i St. A. Lukowski. „Spotkania” ukazały się w nakładzie 500 egzemplarzy, drukiem Młodzieżowej Agencji Wydawniczej w Warszawie, na III lubelską biesiadę literacką KKMP.

Na wzór Klubu Robotników Pisarzy, który działa przy Towarzystwie Pamiętnikarskim w Warszawie, w stadium organizacyjnym znajduje się Klub Pisarzy Chłopów. Celem Klubu będzie zbieranie wypowiedzi w formie pamiętnikarskiej, posiadającej cechy autentyczności, a dotyczących problemów zachodzących na wsi polskiej.

W tegorocznej XXVIII Łódzkiej Wiośnie Poetyckiej kol. Waldemar Michalski (autor tomu wierszy „Pejzaz rżawy WL, 1975) zdobył III nagrodę. Gratulujemy.

Stanisław A. Lukowski podpisał z Wydawnictwem Lubelskim umowę na tom opowiadań pt. „Taka psia gwiazda”.

JeJ

Nasz kolega, aktywny działacz KKMP, Jerzy Chłodnicki, który przed kilkoma laty opuścił Lubelszczyznę, opublikował w Zielonej Górze kolejny tom wierszy pt. „Galaktyka”. Chłodnicki pełni w Zielonej Górze funkcję przewodniczącego Koła przy Oddziale ZLP. Przypominamy — debiutował w Wydawnictwie Lubelskim tomikiem „W dziewannic”, 1974.

W majowym numerze „Głosu FSC” ukazała się kolumna literacka „Profile”. Po latach przerwy jest ona zapowiedzią reaktywowania Robotniczego Klubu Literackiego przy Domu Kultury FSC. Współtwórcami Klubu w 1968 roku byli członkowie naszego ośrodka KKMP (Sirzałkowski, Jedziniak, Michalski, Lukowski, Kukuryki). W obecnych „Profilach” drukują teksty m. in. Z. Sirzałkowski, R. Kornacki, J. Petlewski, J. Mamecz i in. Kolumnę ilustrowali grafiką K. Szurawski i E. Mikolajczuk.

WaM

Grupa „Gen”, działająca przy WDK w Chełmie zrzęzała w swym gronie artystów, pisarzy i fotografików. Ostatnio ogłosiła konkurs poetycki, w którym pierwszą nagrodę otrzymał znany czytelnikom „Kameny” poeta najmłodszego pokolenia — Henryk Radej.

Zbigniew Fronczek ogłosił w br. swój pierwszy tom wierszy pt. „Spacer po linie”. Tom ukazał się nakładem Młodzieżowej Agencji Wydawniczej, w serii „Pololenie”, które wstępuje. Niebawem ukazuje się drugi tom wierszy Fronczaka pt. „Polowanie z naronką”, tym razem w Wydawnictwie Lubelskim. Gratulujemy.

Nasz kolega klubowy, Janusz Olczak, autor kilku powieści oraz tomów opowiadań przyjęty został w poczet członków ZLP. Szkoda tylko, że ten młody, utalentowany pisarz w dalszym ciągu boryka się z trudnościami mieszkaniowymi. Mamy nadzieję, że władze miejskie przyspieszą przydział mieszkania w LSM, do której Olczak od kilku lat należy, by nie musiał wzorem innych lubelskich młodych twórców emigrować z Lubelszczyzny!

Krystyna Makula-Trochimuk (debiutowała w LSW 1968) wydała kolejny tomik poezji, tym razem w Wydawnictwie Lubelskim — pt. „Gorzej uczynek”. W lubelskim środowisku młodoliterackim stanowi on wydarzenie. Ciekawe jak przyjmą go krytycy pozalubelscy.

Druga pozycja posiada również Ryszard Kornacki, lublinianin z urodzenia, zamieszkały na stałe w Międzyrzeczu Podlaskim. Jego tomik poezji pt. „Szukanie Ciałowicki” ukazał się w Wydawnictwie Lubelskim. (Debiutował w 1973 zbiorem wierszy „Wycięcie z cisy”).

Stanisław Żurek

Z CYKLU: „BOJE I PRZEBOJE”

Białe myszki w Mysiej Wieży

PODOBNO na poezji nie można zarobić i poza kieszonkowym w postaci honorarium za druk wiersza, ewentualnie w drogą pocieszenia w wysokości miesięcznej pensji — za publikację tomi ku wierszy raz na kilka lat — możliwość napelnienia sakiewki obciążają poetom rozliczne turnieje poetyckie.

Konkursy te i turnieje różnią się między sobą najczęściej tylko nazwą. W dniach 18–19 czerwca br. odbył się jeden z nich, tym razem — o laur

Mysiej Wieży. Przebieg miał typowy — lauru nie było. Mysiej Wieży też — jury nie przyznało także pierwszej nagrody. Drugą, w wysokości 2 tysięcy złotych wywalczył Wiesław Myśliż z Lublina, trzecią — I Justas z Łodzi — J. Kobierski ze Słupska. Przynano też ośmiem wyróżnień, w tym trzy poetom lubelskim: S. Gąsienkiemu, W. Michalskiemu oraz wspomnianemu już W. Myśliżowi. Ogółem lubelscy poeci przegrali z „restą kraju” o 300 złotych, ale tak to ogólnie znów nasz są górą! Wiersze lubelskich poetów ocenione są utrac najwyżej, a uszak nie startowali! Nasz najlepszy rycerz: M. J. Kawalko. Z Krzeszowice, czy T. Kietakowski-Cugan. Obecność zastrzygnęła nowa postać wdzierająca się z turmem do polskiej literatury pię-

knej — nasz „czarny koń” — W. Myśliż! „Jak myślisz, kto to jest ten Myśliż?” — indagowali mnie przedstawiciele innych ośrodków KKMP. Na drugi dzień po ogłoszeniu wyników pojawił się w Inowrocławiu (tam to boulem odbywało się w tym czasie seminarium literackie zorganizowane przez budżet ośrodek KKMP) średnio młody człowiek majęcy wygląd Cogito, zparwał pieniądze do sakiewki i zanim został rozpoznany, wyjechał.

Wieczorem, a właściwie w godzinach nocnych nad jeziorem Gopłem pod Mysią Wieżą w Krzeszowicach odbył się imponujący festyn z okazji odbywającego się Centralnego Systemu Młodości. Nie zabrakło na nim poetów, zabrałto stesety poezji. Nie było to zresztą jedne spotkanie organizatorów, a uszak okazała do prezentacji była znakomita. Poeci natomiast zaczęli się pisać i nudaś udrził w Mysiej Wieży wielka historię, postać króla Penela i piękno poezji. udrził ponoć biegające białe myszki.

„Zapole” nr 1 (26)
opracował Jerzy Jedziniak

W DNIACH 18-21 sierpnia odbył się w Edynburgu X Światowy Kongres jednej z najprężniejszych i najliczniejszych organizacji naukowych — Międzynarodowego Stowarzyszenia Nauk Politycznych (IPSA). Stowarzyszenie to, od początku swego istnienia objawiające dużą aktywność naukową, powstało w 1949 roku w celu pobudzenia rozwoju nauk politycznych.

Kongres w Edynburgu był imprezą olbrzymią; wzięło w nim udział ponad 1300 uczestników reprezentujących 90 krajów naszego globu, którzy przedstawili blisko 400 referatów. Odzwierciedla to siłę samego IPSA, które liczy obecnie 35 członków zbiorowych, tj. narodowych lub regionalnych stowarzyszeń nauk politycznych, około 220 członków korespondentów w formie określonych instytucji badawczych oraz napływających i nadto około 600 członków — pojedynczych z ponad 60 krajów. Członkowie zbiorowi IPSA wybierają członków Rady, która z kolei co trzy lata dokonuje wyboru prezydenta i Komitetu Wykonawczego. Aby już do sprawy obecnych władz nie wracać powiem, że do ostatniej Rady IPSA ze strony polskiej wchodziło trzech profesorów — K. Opałek, K. Podolski i J. Wiatr, do Komitetu Wykonawczego wybrany został ponownie prof. K. Opałek, a na prezydenta Stowarzyszenia — Karl Deutsch, profesor Uniwersytetu Harvardzkiego w USA.

Na bardzo rozproszony tematycznie program Kongresu, i to była chyba najslabsza jego strona, złożyły się referaty należące w mniej więcej równych proporcjach do trzech grup: tematu głównego przygotowanego przez komitet programowy Kongresu, tematów komitetów badawczych przygotowanych przez egzekutywy każdej z 10 sekcji badawczych IPSA oraz sesji specjalnych zorganizowanych na życzenie członków Stowarzyszenia.

Temat główny Kongresu sformulowano w hasło: „Czas, przestrzeń i polityka”. Objął on m. in. następujące interesujące zagadnienia: historia jako pole doświadczenia i eksperymentowania; symulowanie przeszłości; teorie rozwoju i ewolucji politycznej; porównawcza historia i porównawcza polityka; planowanie, futurologia i polityka; pamięć i świadomość w systemach politycznych; ideologia jako kontrola czasu i przestrzeni; wzory czasu i podziały przestrzeni w systemach politycznych; wyznaczanie i rozwój granic przestrzennych; polityczne, ekonomiczne i kulturowe środki kontroli czasu; przyszłość polityki światowej — funkcjonalizm albo nowa te-

rytorialność; społeczne i kulturowe planowanie.

Tematy komitetów badawczych były również bardzo rozbieżne i różnorodne, jak w szczególności: analizy konceptualne i terminologiczne (COCTA); elity polityczne; unifikacja europejska; latynsko-amerykańskie studia polityczne; studia porównawcze na temat rządu lokalnego i lokalnej polityki; socjologia polityczna; studia nad pokojem i konfliktami.

X ŚWIATOWY KONGRES POLITOLOGÓW W EDYNBURGU

Roman Tokarczyk

Wreszcie nader zróżnicowane tematycznie sesje specjalne dotyczyły m. in. zagadnień: w holdzie A. Smithowi, polityka porównawcza — wymiar jakościowy; polityka i biologia; eksperymentowanie w naukach politycznych; nauka i polityka; kampanie i wybory; nauczanie nauk politycznych; dekolonizacja i rekolonizacja; koncepcja demokracji; socjo-polityczne problemy pluralizmu; polityka środowiskowa — studia porównawcze; cykle życia narodów; korupcja polityczna; nowe kierunki w amerykańskich badaniach porównawczych nad polityką europejską; związki polityczne bez rządu — można wymieniać długo.

Jak nietrudno dostrzec, chociażby z samego przytoczenia najważniejszych tematów Kongresu, grzeszył on nadmiarem zbytnio rozdrobnionych komitetów i grup roboczych, uniemożliwiając szerszą i bardziej pogłębianą dyskusję nad problemami. W rezultacie doprowadziło to do sformułowania wielu bardziej szczegółowych, niekiedy bardzo interesujących tez i hipotez politologicznych — jednakże bez określenia pewnych zasadniczych idei wiodących. Poza referatem ustępującego prezydenta IPSA prof. J. A. Laponce'a, wprowadzającego do głównego tematu Kongresu, nie było ani jednego referatu adresowanego do ogółu jego uczestników o syntezujących ambicjach czy założeniach. Zabrakło

także podsumowania obrad Kongresu. Płynię z tego wniosek, że w toku przygotowań do następnego Kongresu warto zwrócić uwagę na większą koncentrację tematyczną, na skrócone przedstawianie jedynie tez przygotowanych referatów, przyznając prymat roboczej, rzeczowej dyskusji nad przedstawionymi problemami.

Gdyby jednak, mimo wszystko, upierać się przy poszukiwaniu jakichś idei wiodących dla tego Kongresu, to na pierwszym miejscu po-

stałoby rzeczywiste pragnienie większości politologów o różnych orientacjach ideowych — osiągnięcia pełnego odprężenia w stosunkach międzynarodowych.

Za mankament organizacyjny Kongresu należy uznać zupełny brak tłumaczeń wystąpień jego uczestników na główne języki międzynarodowe. Panował niepodzielnie język angielski. Niekiedy ta dominacja angielskiego uniemożliwiała wręcz niektórym uczestnikom nie znającym tego języka odbiór wygłaszanych treści. Sam byłem świadkiem niemiłego incydentu, kiedy autor referatu — Francuz — po głośno wypowiedzianych wahanach w jakim języku — francuskim czy angielskim — wygłosi swój referat, zdecydował się na ten drugi, czym wywołał natychmiastową ripostę Kanadyjczyka z Quebecu, który po krótkim wywodzie na rzecz piękna języka francuskiego demonstracyjnie i z halasem opuścił salę obrad. W przypadkach słabej znajomości angielskiego posługiwano się tym językiem prowadząc do niepotrzebnego przedłużania toku wywodów, które można było wyrazić znacznie szybciej i w bardziej skondensowanej formie.

Na Kongresie najliczniejsza była grupa politologów amerykańskich, którzy należeli też do najaktywniejszych. Stosunkowo bardzo mała była jeszcze grupa uczestników z państw Trzeciego Świata. Współ — zdecydowanie przodowali politolodzy państw socjalistycznych, zwłaszcza radzieccy, polscy, węgierscy, rumuńscy i bułgarscy. Grupa politologów radzieckich liczyła 25 osób i była bardzo reprezentatywna. Politolodzy państw socjalistycznych, prezentując

jednorodność opinii politycznych i ocen ideowych, przedstawiali sobą poważną siłę, nie mającą jej równych pod względem zwartości, pryncypialności i zgodności wynikającej z marksistowskiego monizmu metodologicznego i filozoficznego.

Ze wspaniałym miar wyróżniła się pozytywnie 16-osobowa grupa polska, która przedstawiła 11 referatów, a nadto złożyła 28 referatów do opracowań kopiiotowanych wśród uczestników Kongresu. Jej członkowie wielokrotnie brali udział w dyskusjach i polemikach podczas samych obrad, kontynuowanych często w kulturalnych salach. Polakom Towarzystwu Nauk Politycznych władze IPSA powierzyły zorganizowanie w przyszłym roku obrad Komitetu Wykonawczego Stowarzyszenia, połączonej z posiedzeniem okrągłego stołu na temat kultury politycznej.

Podkreślić należy, że z inicjatywy doc. A. Bodnara do programu Kongresu IPSA wprowadzony został temat dotyczący edukacji politycznej w szkołach wyższych, który wzbudził żywe zainteresowanie, szczególnie politologów amerykańskich. Zyskiwały sobie sympatię błyskotliwe komentarze i dowcip prof. G. Ehrlicha jako organizatora i przewodniczącego sesji na temat socjo-politycznych problemów pluralizmu Prof. K. Opałek poza udziałem w obradach władz IPSA przedstawił aż trzy referaty, wszystkie bardzo wysoko ocenione, a szczególnie referat na temat koncepcji kultury w teorii prawa i w naukach politycznych. Interesujący był referat prof. K. Podolskiego dotyczący przemian w kształtowaniu infrastruktury społecznej do roku 2000 na tle politycznych perspektyw świata. Doc. L. Pastusiak wyróżnił się w dyskusji okrągłego stołu na temat przyczyn i konsekwencji konfliktów opartych na przemocy zbrojnej i jako przewodniczący sesji poświęconej badaniom ilościowym i matematycznym nad polityką. Prof. J. Wiatr, należał niewątpliwie do czołowych postaci Kongresu — jako jego współorganizator, jako przewodniczący i referent sesji pt. „Ideologia jako kontrola czasu i przestrzeni” oraz przewodniczący sesji „Studia porównawcze na temat rządu lokalnego i polityki lokalnej”. W toku tej ostatniej sesji wygłosił referat prof. S. Zawadzki, którego poglądy i bardzo rzeczowe wywody, również w dyskusjach, stanowiły kanwę dla podsumowań sesji przez ich przewodniczących.

Nowo wybrane władze IPSA postanowiły, że następny XI Kongres Stowarzyszenia odbędzie się w Moskwie w 1979 roku. O organizację XII Kongresu zabiegali Rumuni i Brazylijczycy. Po głosowaniu zdecydowaną większością głosów przyznano organizację tej imprezy Brazylijczykom.

POEZJA W TRYBIE WARUNKOWYM

Zygmunt Mikulski

LECTOR benevole” — umieścił na początku wszystkich swoich wierszy Gali-czyński. I jakkolwiek apokryfa pełni funkcję żartobliwą, nie brak w jego twórczości — jakże przecież oryginalnej — tego adresu do czytelnika: „Wrażliwości, jak i smakionuje całą minioną formację poetycką. Nie chodzi o częstotliwość tytułów zawierających przymięk „do” z dopełniaczem odpowiedniego rzeczownika. Istotne jest, że wśród tych ówczesnej postawy kreacyjnej należy miejsce zajmowała uwaga dla właściwości odbioru, że obecność tej drugiej instancji — alter ego autora — liczyła się wśród pierwszych

formantów psychicznej, intelektualnej emocjonalnej, ekosfery, która żyła wia poezję. Oryginalność dawniej to umiejętność organizowania dyspozycji odbiorczej. Oryginalność dziś, to dystans od norm kojarzeniowych.

Wydawałoby się — cóż niesłusznego. Jeżeli na jakimś terenie ma się wprowadzić wartości nowe, naturalne jest uwolnić go od wartości zdeaktualizowanych; jeżeli do języka mają wejść nowe związki słowne, nie mogą opierać się na nowelizacji starych; niech uzasadniona tendencja wyrazi się w rozmiarze możliwie najpełniejszym. Więc słuszne. Ale słuszne, dopóki zamiar „inaczej” nie sięga tej warstwy języka, która

jest kodem. Słowo to niewątpliwie szokuje młodocianych nowatorów, którzy postulat swobody utożsamiają z prawem do dezynwoltury, nie weźmy pod uwagę, że możliwość słownej komunikacji jest jednym z najważniejszych dorobków kultury. Nawet nadrealizm, nawet pur-nonsens działa odniesieniem do naszych kanonów przyjmowania świata. Ostatecznie ułamek możemy nie porównywać, ale kiedy porównać chcemy, znajdziemy wspólne mianownika jest nieodzowne. Więc język jest kodem również dla poezji. Nie w celu ograniczenia jej penetracji kagańcem „dotąd takdalej nie”. W celu zapewnienia jej głosu rosnącego w amplifikacji odbiorczego rezonansu.

Wysunięcie tendencji izolacyjnej, a więc zapoczątkowanie czegoś w rodzaju parnasizmu, tyle tylko że opartego na modnych wówczas motywach turpiastycznych, miało miejsce kilkanaście lat temu, kiedy twierdzono, że poezja powinna być hieroglificzna. Jeżeli już pominiemy fakt, że wszelkie dekretowanie typu „poezja powinna” trafia w próżnię, ponieważ formalny postulat przenosi przed jedynie liczącą się tu praktykę, wypada zakwestionować przytoczonego wymagania osobliwą treść. Cóż bowiem. Skoro hieroglificzna, to dobra nawet wtedy, kiedy zła, a niehieroglificzna zła nawet wtedy dobra? Powołujący się na przykład Norwida (którego poezję Brzozowski rzeczywiście nazwał odślanającym się piśmem runicznym) nie biorą pod uwagę, że wyprzedzanie epoki niekoniecznie musi się

odbywać w kierunku potwierdzonym przez przyszłość, poza tym dość niefrasobliwie wyprzedzanie epoki utożsamiają z brakiem współczesnych czytelników, który to brak dla autora „Vade — mecum” został spowodowany ugruntowaniem innego rodzaju poetyki w akustyce odbiorczej. Kiedy romantyzm był niemal synonimem patriotyzmu, jak przez współczesnych miał być dosłyszany antyromantyczny Norwid? Zresztą owszem, istnieje nawet niewyraźne ale dopiero w tym miejscu, gdzie poezja w swej pasji wyjaśniania świata jest zmuszona do kapitulacji. „Mimo wszystko jesteś niezrozumiały” — to przecież i orientuje. Ale „bądź niezrozumiały” — to w najlepszym razie lekcja bon — tonu obowiązującego w salonie poetyckiej niesprawdzalności.

Kiedy współczesnej poezji wspominać brak czytelnika, nie czynię tego w przekonaniu, że zwiększona przed stołkiem z tomami wierszy ilość Kowalskich automatycznie stanie się argumentem na rzecz prawidłowego funkcjonowania poetyckiej komunikacji. Zresztą statystyka wykazuje, że biletów kupuje się sporo, niniejsze zastrzeżenia dotyczą nie ruchu na dworcach, ale samych podróży. A i większość biletów okazuje się po prostu zwykłymi peronówkami. Więc nawet jeśli jest czytelnik poezji, nie ma czy-

Dokończenie na str. 8-9

Kamena str. 7

WZORY PATRIOTYZMU

SEWERYN GOSZCZYŃSKI - KATON I CYGAN

Dokończenie ze str. 1

mentarnej w Sławucie, w wydzielonej szkole pijarskiej w Międzyrzeczu Koreckim, by w roku 1816 zostać uczniem drugiej klasy gimnazjum w Winnicy. W gimnazjum zawarł przyjaźń z Bohdanem Zaleskim, z którym łączyła go zarówno różnica charakterów (Goszczyński wybuchowy, Zaleski łagodny), jak i wspólne zainteresowanie literaturą. Wtedy też zrodziło się w Goszczyńskim zauroczenie Ukrainą, które później wyraziło się w „Zamku Kaniowskim”, powieści poetyckiej opartej na motywach z dziejów Kozaczyzny (powstanie 1768). Zresztą nie tylko w niej. Romantyczna twórczość w ogóle wiele czerpała z treści ludowych, z wartości psychicznych, folkloru, mitologii warstwy od wieków związanej z naturą, co w tym wypadku doprowadziło do powstania tzw. szkoły ukraińskiej w polskiej poezji.

Jednakże ani przekłady z Horacego, ani lektura Schillera, Byrona i pieśni Osjana nie wypełniły bez reszty zainteresowań młodego umysłu. Goszczyński całą żywością swojego temperamentu podany był ku sorawom oswobodzenia ojczyzny. Do winnickiego gimnazjum trafił raz numer demokratycznego „Pamiętnika Warszawskiego”, który

radykalnie podejmował problematykę zniesienia pańszczyzny. Pociągnęła Warszawa. W roku 1820 Goszczyński rzucił szkołę i wyjechał do stolicy. Wstąpił do Związku Wolnych Polaków, czego poetyckie świadectwo znajdujemy w wierszu „Rejtan” napisanym w roku 1823. Poezja dla niego stała się postacią służby społecznej i taką zawsze tworzył siłą swego talentu, angażując do niej wysokie wartości artystyczne.

Wybuchło powstanie w Grecji. Jak zareagował na to Goszczyński? Udał się w podróż do tego kraju... pieszo. Mając w kieszeni 5 złotych polskich ofiarowane mu przez kolegę z winnickiej ławy szkolnej, Michała Grabowskiego. Szedł na Odesę, utknął w Humanii. Ale i tam znalazł teren dla działalności konspiracyjnej. Założył tajny związek uczniowski, a po jego wykryciu planował zorganizowanie „bandy patriotycznej” w Puszczy Lebedzińskiej. Później znów podjął podróż do Grecji, znów nie uwieńczoną rezultatem. Nie uwieńczoną, bo policja wpadła na jego trop i wyznaczyła nagrodę za schwytanie. Musiał się kryć.

W roku 1827 wyjechał do Wiednia pod przybranym nazwiskiem jako lokaj Grabowskiego, który u-

dał się tam dla poratowania zdrowia. Przepuszczalnie podczas jego powrotu z Wiednia, w Krakowie powstał wiersz „Na mogile Kościuszki”, sugestywnie malujący postać bojownika o sprawę ojczyzny i chłopstwa.

Warszawa w roku 1828 była czymś innym niż ta opuszczona przez poetę w roku 1820. Kiedy przybył do niej Goszczyński, wyczuł w powietrzu proch. Ale i jego wyczuła policja. W stolicy zabawiał tylko trzy tygodnie. Udał się z powrotem na Ukrainę, gdzie napisał dwie powieści. W czerwcu 1830 wyjechał znów do Warszawy z postanowieniem galkowitego oddania się pracy konspiracyjnej. Nadszedł dzień 29 listopada i wybuchł pożar na Solcu. Goszczyński, uczestnik ataku na Belweder, walkę w powstaniu rozpoczął jako kapitan w gwardii Chłopskiej, później walczył ochotniczo w korpusie Dwerwickiego, na koniec został adiutantem Małachowskiego. Walczył nie tylko piórem. Znany był jego zbiór pieśni patriotycznych „Pobudka” wydany przez Ministerstwo Wojny.

Powstanie upadło, nie upadła myśl działania na rzecz tym razem nie osiągniętej wolności: *Odegraliśmy jeden akt naszego dramatu, niech mówią, że to katastrofa, my wiemy, że to tylko węzeł do dalszego ciągu sztuki, że akt piąty, może niedaleki, ale jeszcze w robocie.* Goszczyński z towarzyszącymi broni znalazł się w zaborze pruskim, skąd 2 lipca 1832 roku pisał do Joachima Lelewela: *Z Prus jeszcze miałem się do Francji udać. Niepewność losu naszego we Francji, nadzieje pracowania dla Polski na jej łonie skłoniły mnie na jakiś czas ku Galicji.* Tym bardziej, że nadarzała się okazja — zaproszenie mającego przyjacielą i byłego powstańca, Józefa Tetmajera. W Mikołajowicach

pod Tarnowem i w Lopusznej spędził Goszczyński kilka miesięcy. Wtedy powstały notatki do napisania później, a jeszcze później, bo w roku 1853 w całości wydanej „Dziennika podróży do Tatrów”. Odmalował w nim poeta urok tej ziemi i charakter zamieszkującego ją ludu, który go urzekł swą odrębnością. Można zapytać skąd to umiowanie gór u wychowanka równin. Wyjaśnił to Lucjan Siemieński: *Tylko Ukraina i góry wydały dwie silnie narysowane postacie: hajdamaki i zbójnika; gdzie indziej bowiem siła żywotna rozlewa się tylko w żaloznej piosence rekruckiej, w narzekaniu na swojego pana.*

Rok 1833 zrodził nadzieję na nowe powstanie. Z dwóch powodów. Pierwszy to napięcie stosunków między Anglią i Francją a Rosją na tle zbrojnego konfliktu turecko-egipskiego, drugi to tolerancyjne stanowisko Austrii wobec uchodźców z Kongresówki, a nawet coś jakby przymyknięcie oka na konspiracyjną działalność w Galicji. Goszczyński wraz z Ignacym Kulczyńskim założył Związek Dwudziestu Jeden. Niestety, składał się on ze szlachty wystąpienia zbrojnego raczej niechętniej. Również takim rezultatem zakończyła się wyprawa Zaliwskiego. Emigracyjny działacz Komitetu Narodowego Polskiego, kapitan Józef Zaliwski, występując z ramienia tajnej organizacji Zemsta Ludu, przeprowadził 63 ochotników z Francji do Galicji, następnie do Królestwa Polskiego. Po miesięcznym pobycie w lasach partyzantkę rozwiązał. Wyprawa była podjęta bez znajomości stanu rzeczy w kraju, planowane jej ponowienie w roku następnym nie osiągnęło skutku. Także Austria doszła do porozumienia z Rosją, co zmieniło stosunek władz do spo-

łeczństwa tak zwanego „złoty wiek” polskiego Związku, musiano myśleć o zaniechaniu.

Ale zaczęła się nowa: założone w tym roku 1833 Stowarzyszenie Polaków, w którym Goszczyński, działacz polityczny, rzeczniczek tezy, nie znalazł powołania do działalności wśród najszerszego i przekonanie, później niejednoznacznie miało się „Powszechny Patriotyzm”, w którym wydrukował, a poka poezji próbę syntetycznej współczesnej m. kul wyraził m. wisko (by nie mówić o twórczości dry).

W czerwcu 1838 udał się na emigrację przybył do Francji — oprócz wycofania się do celu represji ze strony władz, był to także do odczytania leskiego pisanych w Galicji poeta uznający polityczną niechęć warun-ny jeszcze dla d. racyjnej. Wprawd do Centralizacji radykalnego odłam Demokratycznego ton krytyczny ku do teorii emi- wsze odpowiadają ści krajowej, to widział jako spo-

Dokończenie ze str. 7

telnika w poezji. Nie ma w tym sensie, że poszukiwanie artystycznego wyrazu odbywa się bez uwagi na konieczną obecność tej drugiej wrażliwości, której reakcja sprawia, że sygnał powstał, skoro może istnieć jedynie jako przyjęty. We współczesnej twórczości (nie tylko poetyckiej) obserwujemy dziwne zjawisko: anoda, która uparla się dać elektryczność bez katody, chęć uzyskania płodu w rezultacie aktywności jednej płci. Krytyka filmowa na oznaczenie dzieła mającego wyrazić przede wszystkim predyspozycję własną reżysera (często z pominięciem języka tej sztuki zaadresowanej przeciw na szeroki front odbiorcy) posługuje się pojęciem „filmu autorskiego”. „Wiersz autorski” — oto co w analogii można dorzucić jako wyraz izolacjonizmu w poezji.

Owszem, ze stanu dyfrakcji wywołanego nieczytelnością wielu dzisiejszych „realizacji” (termin z krytyczno-literackiej fryzjery, całe szczęście, że już wychodzący z użycia) nie wyprowadzi opcja na model łatwo przyswajalnej, banalnie komunikatywnej „dostępnej dla wszystkich” liryki. Nie zaspokoił teraźniejszych zapotrzebowań jakaś zhomogenizowana pop — poezja. Także przy najskrajniejszym tradycyjalizmie niesposób oczekiwać recydywy Staffa, Leśmiana, Jasnorzewskiej, a nawet gdyby ktoś z wymienionych jeszcze dziś wszedł na rynek, najwzajemniej nie zostałby przyjęty. Inny temperament epoki, inna fala odbioru. W stylistyce istnieje figura praesens perfecti. Każda poprzednia poezja istnieje jako perfectum praesentis. Coś, co jest właśnie dlatego, że być przestało. Wyraziło swój czas i nie doznało dewaluacji przez obecność w czasie nie swoim.

Ale to nie oznacza, że przeciwstawieniem liryki ułatwionej może być eksperyment w znaczeniu do niedawna i dziś jeszcze praktykowanym. Nawet nie przez zastrzeżenia, jakie dotyczą „poezji laboratoryjnej”. Ta niech legitymuje się potrzebą usprawniania narzędzi, treningiem słów przed przystąpieniem do wyczynu. Jest coś gorszego. Autor ma prawo zrezygnować z wielkiej liczby czytelników i znajdować uzasadnienie swej praktyki w zwę-

żaniu się grupy odbiorców, jeśli przez to wzrasta wierność, trafność, wartość odbioru. Ale kiedy zakres odbioru redukuje się do jednej indywidualności, mianowicie indywidualności autora, wtedy oprócz zaniku społecznego rezonansu poezji zachodzi zjawisko sprzeczne z ideą wyrażania. Ja — autor i ja — czytelnik mają „omówione” między sobą, objęte „wewnętrznym porozumieniem” rodzaje reakcji na bodźce, jak również środki ekspresji, na skutek czego dochodzi do posługiwania się prefabrykatami poza wierszem powstałych konstatacji. Stwierdzeniami, które nie rodzą się wraz z wierszem, nie zostały wyniesione — chciałyby się powiedzieć: w transie, w koniecznym impromptu — energią jego wzrostu. Na dobrą sprawę sam autor powinien ich nie rozumieć, jeśli oczywiście pozostaje w obrębie danego tekstu, a nie odwołuje się do sobie wiadomych skojarzeń, które dopiero egzegeza krytyczna przyjmując za swój obowiązek wydobycie na jaw. Na przykład: „Uciekaj / ludzie są nieskończonością / gdzie eksplozją zetknięciem równoległe / różami krematorium”.

Dobrze, ale niech się autor przedstawi jako zwolennik geometrii Lobaczewskiego, w której przez dwa punkty można przeprowadzić więcej niż jedną prostą, niech udowodni, że tak zetknięte linie wybuchają, że krematorium, które kojarzy się z popiołem, bywa i różą, że wreszcie to wszystko powoduje potrzebę ucieczki. Nie chcę przekładu na prozę. Oczekuję pominiętych jako „rozumiałe same przez się” ogniw poetyckiej argumentacji. Takiej, jaka u tego samego autora spełnia swą rolę np. w wyrażeniu „piorun — złamane wiosło pogody”.

Mówiąc więc skrótowo „czytelnik” nie mam na myśli osoby czytającej. Czy raczej mam nie tylko ją, bo przede wszystkim ten postulat wszelkiego pisarstwa, według którego już w kwasie dezoksyrybonukleinowym powstającego utworu ma się znajdować jego możliwość wejścia w relacje międzypodmiotowe. Warunkiem tego jest sprawdzalność — obrazów, metafor, tropów — i pojęcie to zaproponowałbym jako przydatny próbiez, gdyby nie tkwiła w nim „skaza” pochodzenia. Mianowicie reistycznie zorientowana, a malarstwem podszyta przybosiowska filozofia poezji, na której gruncie ów termin powstał, za sprawdzalne uważa tylko to, co da się udokumentować świadectwem prostych skład-

POEZJA W TRYBIE WARUNKOWYM

ników rzeczywistości. („Sam autor „Pióra z ognia” powiada: „Dziewczyna nachyla się nad źródłem. Drwal obala brzoze. Słychać młot kamieniarza”. „Z tych — ań mogę wprowadzić poemat”). Wymiernie, wyrażalne, sprawdzalne — cały Przyboś. Pasjonat cywilizacji technicznej, zachwycony możliwością opanowania jej słowem, a więc nie skory do wypuszczania z rąk narzędzia autoafirmacji. Ale kiedy emigrant z Gwoźnicy zachłysnął się wizją rozkwitającej w poemat maszyny? Świata umeblowanego zdobyczami nauki? Bardzo wczoraj. Kiedy w ogólnokulturowej refleksji nie zadomowiły się jeszcze pojęcia pętli czasu, tzw. „pobudowy metrówkę”, „dziur” w przestrzeni, antimaterii. Czyli sprawdzalność w sensie jednokrotności z rzeczywistością zmysłową ma swój jeszcze newtonowski rodowód i nie może oczekiwać zastosowania w czasie, kiedy na terenie nauk ścisłych pojawiają się hipotezy pozagraniczne w stosunku do tradycyjnych norm myślenia. Co jednak nie oznacza, że twórczość w poezji jest skazana na jednopodmiotowość, albo że stan ten należy uznać za optymalny. Dowód w nauce znajduje się poza tezą. W wierszu jak w dowcipie ma tkwić w tekście.

Co więc proponujemy na miejsce tak niewystarczającej sprawdzalności? Mniejsza o termin. Ważne, by przestało funkcjonować przekonanie, że ściągnięcie ku sobie dwu nieprzystających słów to świadectwo wyobraźni, której siła mierzy się aż taką „rozpiętością skojarzeń”. Przypomina się Cocteau: „Największymi wrogami fantazji są poeci”. Wyobraźnia, która utraciła charak-

ter tym pełniejszego widzenia rzeczywistości, popada w fantazjotwórstwo posługujące się rzeczywistością zmyśloną, a co za tym idzie — dowolnością w tworzeniu związków słownych. „Rzeczywistość dla mojej metafory poszukiwana od zaraz” — oto co się powinno spotykać jako konsekwencję tej postawy w rubrykach ogłoszeń.

W poezji lingwistycznej jest coś z pantomimy. Jak w sztuce gestu sama forma ruchu ma wywołać złudzenie, że aktor je jabłko, albo przyszywa guzik, tak w lingwistycznym wierszu operowanie narzędziem ma stworzyć materiał, czyli sytuację liryczną. Przy czym obecność czy nieobecność rzeczywistego doznania jest

tu najzupełniej tylko rodzajowa konfiguracja tego, że nowo wstać — s. go jest do potrzebne b. nawet zlece semantyki. ją praktyką toda lingwi. kiedy sform. ciej banalne go nawet z. le tylko, że wynalazczo. konie już r. postąpiła tu na rękopis. rosządę dw. zechcemy u. to „Słowikó. życa nie sly. nym wiersz. w „Skaman. swój czas m. wo pretendo.

Istnieje za. następcą Pe. stamentu w. nej dodał. szej rzeczywi. wrotnej jed. sprzymierz. zyła afirmac. i tworzyła li. przyszedło. r. trzeba jest. ejami rysują. niejszości. powstanie? krytyki, jest. cenzja nie d.



PA

że w
oszczyn-
Ludu
powstaniu
anizacja
e 11 lu-
nie Lu-
założy-
ładczony
jej lonie
zbrojna
z urze-
andowej
narodu,
zilo się
Stwarzy-
Był nim
uk i U-
oszczyń-
Nowa e-
ierający
obrazu
Arty-
stano-
atak)
ra Fre-
oszczyński
sierpnia
ej decy-
się na
z, które
yjne —
do Za-
asburga.
wyma-
ia, w ist-
podat-
koni-
emoriale
władza
arzystwa
zawarł
stosun-
nie za-
zywisto-
migracje
wypra-

cowania metod politycznego dzia-
lania w polskiej sprawie wyzwo-
leńczej. Tym bardziej że za pośred-
nictwem swych emisariuszy była
ona czynnikiem ingerencji na teren
kraju, ponadto na skutek wzmagają-
cego się nacisku zaborców siłą
rzeczy stawała się trybuna, z któ-
rej głos nie mógł pozostać niedo-
słyszalny w Europie. A dodajmy
przecież autorytet Wielkiej Emigra-
cji z nazwiskiem Mickiewicza, z
„Dziadów” częścią trzecią, „Księga-
mi narodu polskiego i pielgrzym-
stwa polskiego”, a także „Panem
Tadeuszem”.

Goszczyński współpracował z pis-
mem „Demokrata Polski”, organem
Towarzystwa Demokratycznego Pol-
skiego, zamieszczając tam szereg
artykułów popularyzujących idee
połączenia walki wyzwoleńczej z
kwestią reform społecznych, ale po-
lemiczne ostrze jego pióra osiągnę-
ło skutek najdobitniejszy w redago-
wanym przez Leona Zienkiewicza
satyrycznym piśmie „Pszonka”, wy-
kazując u tego poety i publicyście
niepośledni nerw ironisty. Tu wy-
pada wyjaśnić często nieczytelną o-
sobliwość tytułu, a ukaże się zwią-
zek strasburskiego (1839—1842) i
paryskiego (1842—1844) pisma z ar-
chiwaliami naszego regionu. Otóż
pochodzi on od nazwiska Stanisła-
wa Pszonki (XVI w.), sędziego
ziemskiego lubelskiego, facejonisty
i założyciela „Rzeczypospolitej Ba-
bińskiej”, której był pierwszym
„burgrabią”. W tej parodii pań-
stwa tytuły dygnitarские nadawane
były ludziom o właściwościach za-
przecających wymaganiom danego
stanowiska, co wykpiwało panują-
cą wówczas tytułomanię. Nie wy-
kluczone, że w babińskiej zabawie
brali udział Mikołaj Rej i Jan Ko-
chanowski.

Na emigracji powstał „Król zam-

czyśka”. Jest to utwór aczkolwiek
prozatorski, to jednak o dużym la-
dunku poetyckim, zresztą przede
wszystkim znaczy jego niebywale
sugestywna metaforyczność. Tu Go-
szczyński okazał się zdecydowanym
romantyzmem, w utworze zawarta
jest nie tylko romantyczna skłon-
ność do osnuwania ruin wiewem
legendy, ale również niebywale no-
śna, przysłonięta mgłą tajemniczo-
ści symbolika. Ton, który później
zabrzmiął na lutni Słowackiego. Go-
szczyński gdyby nie napisał nic wie-
cej, sam „Król zamczyśka” wystar-
czyłby do wpisania jego nazwiska
na karty historii literatury.

Należał do tych emigrantów, któ-
rym dane było wrócić do kraju.
Zmarł 25 II 1876 roku we Lwowie.
Zygmunt Kaczkowski w swoich
wspomnieniach „Mój pamiętnik z
lat 1833—1843” porównując poetę
pod względem fizycznym z Wincen-
tym Polem i przechodząc do scha-
rakteryzowania jego sylwetki du-
chowej pisze:

*Goszczyński był prawie tego sa-
mego wzrostu, ale więcej barczysty,
cokolwiek starszy od niego, jasny
blondyn, wówczas z ogolonymi wą-
sami, cerę miał chropowatą, oczy
siwe bez blasku, ale z pewnym su-
rowym połyskiem, był różnie wy-
mowny, ale tylko poważnymi my-
śłami zajęty, zgola widać w nim
było tego zagorzałego konspiratora,
którego nie innego nie zajmowało
oprócz tej Polski, dla której, we-
dług swego przekonania, poważnie,
sumiennie i z całym poświęceniem
pracował.*

Katonem i Cyganem nazwał go
Zygmunt Wasilewski. Cyganem —
przez lekceważenie wygod osobis-
tych i nieustanne dążenie za odgło-
sem sprawy, w której zabrzmiło
imię Ojczyzny.

Krzysztof Janicki



W TV „DWOJE NA HUŚTAWCE”

Z lewej reżyser Krzysztof Kretowski
poniżej aktorzy — Maja Komorowska i
Zbigniew Zapasiewicz

Fot. S. Grünberg



na, liczy się
środków. No-
i właśnie dla-
je — ma po-
o oryginalne-
owania, skoro
likowanie, a
kładni, fleksji,
y przed swo-
zkiwną, me-
rodukuje nie-
najprzystoi-
erające niez-
cznej idei, ty-
e wzmówionej
uż napawione/
yobraźnia nie
u. Wystarczył
powodujący
owów. A jeżeli
a interesujące,
trzegam, księ-
zimy w pew-
wanym jeszcze
ze względu na
e większe pra-
odkrywczości.
rzebowanie na
do Staroży-
Tem-
ament dzisiej-
tyckiej. W od-
cji. O ile tam
yka teoria słu-
jących zjawisk
ny klimat ich
o tyle tu po-
poru z tenden-
nornamie teraz-
— kiedy ono
e, że nie ma
a. Gorzej: re-
wlerza, dotyczy

wersów. Jest nastawiona na poszu-
kiwanie „podejść”, ze stanowiska
których „tłumaczy się” dany zwrot,
natomiast nietknięty analizą pozos-
tawia sposób widzenia rzeczywisto-
ści wierszem wyrażony. Nie war-
tościuje, lecz interpretuje. Liczy się
dla niej nie walor poetycki, ale o-
kazja do wykazania sprawności kry-
tycznego narzędzia. W ten sposób
mówi tylko o sobie. „Nieufni i za-
dufani” to przy całej obfitości zgro-
madzonego dossier książka autote-
matyczna. Przede wszystkim zwy-
cięsko zaznaczyć się tu miała dyspo-
zycja notowań i klasyfikacji. I kie-
dy Barańczak przystępuje do wy-
pełnienia klatek swojego podziału,
bynajmniej nie peszy się tym, że
Zadura wychodzi mu jako omnipo-
tens, grandiloquus, sentimentalis i
simplificans równocześnie, że tak
samo po segmentach makiety wę-
druje Stancik i Zernicki. A gene-
ralną słabością książki jest ów brak
tremy, ton spokoju diagnosty mają-
cego w zanadrzu trafne in spe roz-
poznanie.

Inaczej jest ze „Światem nie
przedstawionym”. Do wybaczenia
byłoby niedokładności, a nawet do-
wolności jego sformułowań¹⁾ na
tematy ogólne, gdyby pod auspicjami
mi sporu o uniwersalia nie doszła
do głosu tendencja polemiczna
wobec poetyk przeciwnych autorom
jako praktykom. Jakkolwiek pocie-
wolno jest walczyć o swoje pojmo-
wanie twórczości również narze-
dziem teoretycznym, to jednak pole
ewentualnego — zwycięstwa ma
obejmować rodzaj danej po-
stawy, a nie raczej ogólno-
artystyczne. Kornhauser i Zagajew-
ski nie dla egzemplifikacji, nie sire,
ale cum ira et studio przeprowadzili
rajdy krytyczne na pozycje swoich
oponentów, co zamierzony rachunek
osłabiło podobieństwem do pora-
chunków²⁾.

Strata to jeszcze jednak nie
pierwszoplanowa, że krytyka odłoży-
ła swą funkcję probierczą. Jest coś
bardziej niepokojącego, kiedy na
materiale obojętnie jakich tekstów
uprawia geometrię wykresną, kie-
dy wzięte pod uwagę zjawisko jest
cenne nie dzięki swemu rzeczywis-
temu znaczeniu, ale z powodu przy-
stawiania do interesującej formuły.
Intelektualny narcyzm — oto po-
stawa dzisiejszego krytyka poezji.

A (młodego) poety? „Skok bar-
barzyńcy, który poczuł Boga” (Tu-
wim), „Zamach na wszystko” (Przy-
bó) nie mogą być dzisiaj wy-
znacznikami tendencji twórczej —
pierwszy przez swój optymistyczny

witalizm i brak pierwiastka reflek-
syjności, drugi przez skomplikowa-
nie współczesnego świata odbierają-
ce pocie moc demiurga, a orien-
tacja pełnię systemu. Intencja obu
definicji jest dziś nobliwym faktem
historycznym i zrozumiałe, że nie
znajduje prolongaty w praktyce. O-
pozycję jednak posunięto do skraj-
ności. Oto podmiot liryczny to obo-
wiązkowo ktoś „do spodu” zdepta-
ny przez życie, zepchnięty na dno,
liczący muchy. Ba, rozmiłowany w
„świętości poniżenia”. Młoda poetka
tytułuje zbiór wierszy: „Pelzając”.
Wytworzyła się poza „nieudawania”,
powstało przekonanie, że akcenty
krytyczne w stosunku do świata bę-
dą tym mocniejsze, im bezwzględ-
niej dotkną samego autora.

Czy zatem oczekiwać od (młodego)
twórcy powrotu na pozycję stwó-
cy? Bynajmniej. Ale nie ma odej-
cia od tego, że poeta musi mieć swój
archimedesowy punkt, w oparciu o
który wyważy kulę ziemską, a punk-
tem tym jest banalnie nazwana
wierność samemu sobie, czyli wy-
pracowana (nie znaczy: zakrzepła na
dogmat) norma osądu, ów zasadni-
czy funkcyj naciepnięcia między „ja” a
„nie ja”. Nawet (nawet? szczegól-
nie!) kiedy ryzostunek poety zawie-
ra ostrze krytyczne. Co jest do za-
ważenia nie dla obrony autora
przed nim samym. Dla postawy od-
powiedzialności. Za — przecież —
jego świat.

Ale świat dzisiejszego poety jest
światem anonimowym. Nie sam dy-
letantyzm niedzielnego czytelnika
dochodzi do głosu, kiedy się słyszy,
że nazwiska autorów nad wiersza-
mi można przetasować i nikt żartu
nie wykryje. Istotnie, dzisiejszego
widzenia świata nie wyróżnia owe
pryncypium indywidualności, którego
brak powoduje nie całkiem do pod-
ważenia rację w powiedzonku o po-
ezji komputerowej, czy układaniu
fraz przy pomocy kapelusza z ka-
wałkiem policieł gazety. Indywidu-
alność. Broniewski. Galczyński mieli
swoją styl, język, ton nie dla wpisania
siebie w panoramę słów, nie dla
przywłaszczenia sobie pewnych ob-
szarów wyobraźni, ale z potrzeby pi-
sania sobą. Wymaganie indywidual-
ności nie jest zabiegiem fotografa
proponującego ciekawe ujęcie.

Rzecz w tym, że słowa dzisie-
szego wiersza nie nacelowane na
wykrystalizowanie idei utworu two-
rzą szum informacyjny mający za-
sugerować ową pokutującą jeszcze
hieroglifikę, czy pożądaną wielo-
znaczność. Wieloznaczność powstaje,
ale nie w tym sensie, że metafora

wypromieniowuje z siebie znaczenia
wprowadzające w intencję całości.
Nawet kiedy sformułowaniu moż-
na przyznać pewną trafność, nie
komponują się one według organi-
zującej zasady. Futurystyczne „sło-
wa na wolności” to kanon dystynk-
cji przy licencji słowa rozkojarzonego.
Wiersz jest brulionem wiersza,
publikuje się prywatne notesy uwag
lirycznych. Czytelnik ma wrażenie,
że utwór jest celowo zatrzymany
przed stadium, w którym może coś
znaczyć, jakby w obawie, że wymo-
wa zmaleje, jeśli się wywikła z ko-
konu potencjalności. Kariera trzech
gwiazdek w tytule to zewnętrzny
znak „ostrożności” cofającej się
przed jednoznacznym uformowaniem
doznania.

A także. „Oparte o kaflowy piec
przy stoliku, na którym leżą bilety,
stoją chude, piegowate dziewczyny,
myślą o swych dolegliwościach, o
kłopotach w domu, ojcu, który się
upił, bracie, który kogoś pobił”. Co
to? Fragment tekstu, jaki nie znaj-
dzie się w próbach początkującego
prozaika. Ale rozbity na wersy ma
pełnić obowiązek wiersza. Wtedy
„powinno się” rozumieć, że impli-
kuje „inną” aurę asocjacyjną, że po-
zorna nijakość świadczy o odejściu
od „łatwej poetyzacji”, że „chwa-
lebna powściągliwość” odniosła
triumf nad pokusą „pustego orna-
mentu”. Recenzja w takich dryblin-
gach bryluje. Ma to nawet za honor
własnej oryginalności. W ten spo-
sób na intelektualną rewelację da-
ją się wyinterpretować każdy „włazł
kotek na płatek”.

„Odwaga” prozy w wierszu ma
niewątpliwie swe źródło w poszu-
kiwaniu gwarantów antyestetyzmu.
Precz z literackością. Samym ży-
ciem to, co się powie „po prostu”.
Tymczasem mimo udziwniań krytyki
(termin „udziwnianie” już dawno
powinien się znaleźć w zastosowa-
niu do tej dziedziny twórczości) pro-
za w większości dzisiejszych wierszy
jest prozą tout court, a nawet
pod auspicjami odniesień poetyckich
produkuje banały normalną prozą
obrażające. Czy u podłoża tych za-
strzeżeń znajduje się postulat sztucz-
nej maksymalizacji? Ale i „natural-
na” minimalizacja niech nie przy-
biera pozory „pozornie nic”, kiedy
nie jest rzeczywistością.

Jeśli poszukująca, to niekomuni-
kacyjna, jeżeli czytelna, to nie od-
krywczą, jeśli zamierzona filozoficz-
nie, to artystycznie rudementarna,
jeśli pozbawiona błyskotek, to spa-
dająca w komunal. Niedoformowa-
na, pozerska, sugerująca rzekome

podteksty i aluzje. Można dorzucić
jeszcze kilka objawów niedowładu
współczesnej poezji, ale nie chodzi
o pełny rejestr. Nawet nie o saty-
sfakcję trafnego oskarżenia. Więc?
O szacunek inwentarza. Wiele na-
pisanych słów oczekuje przekwalifi-
kowania na surowiec wtórny. Co
zresztą nie jest szokującą nowo-
ścią. O marnowaniu materiału dla
wyprodukowania radu pisał Maja-
kowski. Zjawisko dziś znajduje
przyczynę w tym, że epoka w ogóle
przy swych eksploratorskich trium-
fach, lecz odkryciami wzmagającym
się pluralizmem intelektualnym ma
kulturowe oblicze dość niesprecyzo-
wane, choć w jednym wyrazie: w o-
pozycji wobec minionych stanów
świadomości. Ale tu właśnie i sedno
pomyłki: znak równania między in-
nością a nowością. I jakkolwiek nie
jest uzasadnione egzorcyzmowanie
obecnego stanu rzeczy jakimkolwiek
z bezspornych nazwisk epoki po-
przedniej (co nie zmniejsza potrze-
by otwarcia na idące stamtąd przy-
kłady), to jednak poezja bez dorob-
ku artystycznej refleksji, bez żywią-
cego światopoglądowo filozoficznego
podłoża jest poezją doraźną, tygod-
niową, poezją w trybie warunko-
wym.

Zatem poczekajmy? Na dokonania.
Bo jeżeli chodzi o oceny, by-
wają sytuacje, w których funkcje
„korektorki wiecznej” z powodze-
niem pełni teraźniejszość.

Zygmunt Mikulski

1) To znaczy: wyraża swój przedmiot
nie wprost, ale asymptotycznie. Oczy-
wiście nie każda jej postać. Nie ta, któ-
rą określa „wola wymiennego kształtu”
(o Przybosiu), lecz ta, która powstaje w
„muzycznym przymgleniu świadomości”
(Czechowicz).

2) By już nie wspomnieć o niłakości
niektórych spostrzeżeń. Np. „Najbar-
dziej zasadniczą w naszej kulturze jest
rozbieżność między tym, co jest, a tym,
co powinno być”. I jakby nie wystar-
czyło, pada „precyzujące” wyjaśnienie:
„Jest to odległość między tym, co
chcielibyśmy wiedzieć, a tym, co na-
prawdę istnieje”. W dodatku z całkow-
nym brakiem troski o zgodność z na-
kreślonym stanem rzeczy: „Kultura jest
po stronie tego, co powinno być”.
(str. 22)

3) Anegdota mówi, że Leibniz, kiedy
nie znalazł uznania dla swych teorii fi-
lozoficznych, przeczucił się na teren
matematyki i tam dokonał szeregu ot-
kryć chcąc nimi uwierzytelnić słuszność
nauki o monadach. Podobna intencja
to drugi powód narodzin „Świata nie
przedstawionego”.

Okno -lice sztu- -ki

Wierność

i zniechęcenie

KONRAD Szurowski maluje o-brazy. Warsztat opanował do- statecznie, lub może jeszcze lepiej. Niejeden z artystów profesjonalnych mógłby uczyć się od niego kompozycji kolorystycznej i umiejętności uzyskiwania mocnego wyrazu tylko przy pomocy środków plastycznych. Wspominanie o tym ma sens konkretny: Szurowski jest samoukiem, nikt nie uczył go malarstwa, na żadne kursa miłośników sztuki nie chodził. Urodził się w 1941 r. w nie bardzo podłym Opolu Lubelskim. Małe miasto z ładnym kościołem siedemnasto - osiemnastowiecznym, w którym rokokowa polichromia A. Dembickiego... Podczas nauki w liceum krańskim wysłał prace na Wystawę Amatorów i Nikifora, urządzoną w 1956 roku w Lublinie. Obok prac Tytusa Dzieduszyckiego, Krzysztofa Kurzątkowskiego, Przemysława Zwolińskiego znalazły się: olejna

„Martwa natura”, akwarelowe „Konie” i trzy rysunki Konrada Szurowskiego. Prawdopodobnie uczeń z Krańnika był najmłodszym uczestnikiem ważnej wystawy, z której wyłoniło się Kolo Młodych Plastyków, a następnie grupa „Zamek”. Później Szurowski znalazł się w Lublinie, gdzie przez dwanaście lat uczył malarstwa i rysunku w Szkole Podstawowej nr 29 na LSM. Pracując studiował historię sztuki; dyplom otrzymał w 1969 roku. A teraz wyklada dzieje sztuki starożytnej i średniowiecznej na kierunku plastycznym Wydziału Pedagogiki i Psychologii UMCS. I maluje.

Wystawia: m.in. na I Triennale Plastyki Nieprofesjonalnej w Krakowie i Warszawie (1973), w klubach lubelskich oraz domach kultury, ostatnio na LSM (wrzesień 1978 r.). Bierze udział w ogólnopolskich imprezach plastycznych CRZZ, otrzymuje I nagrodę w konkursie malarskim nauczycieli.

Amatorzy potrafią irytować. Już Ksawery Piwocki zauważył, że amator udaje artystę, w przeciwieństwie do twórcy „naiwnego”, który jest autentycznym artystą. Amatorzy denerwują także dlatego, że ostatnio całe to bractwo przeżywa niesamowitą hossę. Urządza się dla nich plenery krajowe i zagraniczne oraz międzynarodowe, specjalne aukcje w specjalnych domach (Kraków), a nawet muzea (gdzieś na południu kraju). Ruch amatorski umieszcza się w takich samych ramach organizacyjnych, w jakich funkcjonuje plastyka profesjonalna, co daje nieprzewidziane chyba następstwa tzw. wzdęcia amatorskiego bez zasadniczych powodów. Bo 99 procent amatorów nie potrafi malować i nie ujawnia żadnej indywidualności. A tymczasem różnymi decyzjami umacnia się ich w przekonaniu, że to oni właśnie niosą kulturę plastyczną w masę — „które mają dosyć niezrozumiałych zawodowców”. Niebezpieczna to zabawa, pora aby ją przyhamować. Niech białe będzie białe, a ochotnik malarski — ochotnikiem, co to dla własnej i przyjaciół przyjemności

uprawia to i owo — na koszt własny przede wszystkim.

Ale przypadki w rodzaju tego, który reprezentuje Konrad Szurowski, winny powstrzymać krytyczny rozped tych profesjonalistów, którzy ze złością i całkowicie negują sens zyczenia — w miarę — traktowania amatorów. Szurowski należy do owego jednego procenta santorodnych malarzy, którzy za sprawą takich czy innych okoliczności działając poza formalnie uznanym „rynkiem sztuki”, na ubożcu i cierpliwie potwierdzają autentyczność swoich postaw twórczych, swoje umiejętności warsztatowe.

Szurowski maluje w sposób zbliżony do dziewiętnastowiecznego realizmu: dramatyczny światłocień jest głównym środkiem wyrazu tych w zielonej na ogół tonacji utrzymany płócien. Maluje szybko, zaciera kontury, dematerializuje formę roztopiając ją w drżącym świetle. Portretuje ojca, kreśli pejzaże z chałupami, kształtuje pedzlem wnętrza pracowni malarskiej, martwą naturę z moździerzem, wizerunek młodego człowieka w szerokim kapeluszu. A zatem nawet niektóre kanoniczne motywy tamtego czasu przywołuje, motywy symbolizujące np. w romantycznej mitologii artystycznej misyjny charakter działalności twórczej.

Znany język, znana tematyka — a przecież jest w malarstwie Szurowskiego, w pracach najlepszych (portret ojca, pejzaż z nie istniejącym dworkiem przy ul. Szenwalda), ten ton indywidualny, szalenie osobisty, który pozyskuje zainteresowanie odbiorcy. Ta twórczość bez żadnych pretensji do nowatorstwa formalnego przywraca sens naszym odświętnym poszukiwaniom dobra, harmonii i urody świata.

Konrad Szurowski debutował dwadzieścia lat temu. W tym samym czasie rozpoczynał działalność jeden z filarów grupy „Zamek” — Włodzisław Borowski. Tak się złożyło, że równocześnie z wrześniową ekspozycją Szurowskiego (w Osiedlowym Domu Kultury LSM) — w staromiejskim „Labiryncie” czynny był „pokaz ideologiczny”, nazwijmy

to tak, Borowskiego pt. „Etyka — Etyka”. Na kilkunastu kartkach z bloku technicznego autor przedstawił krytykę kolejnych etapów swoich zainteresowań artystycznych. „Autoportrety” kończył papier z takim tekstem: „Tylko „żywy przekaz”, jakim jest osobisty kontakt, może dać portret bliższy prawdzie. A świadomość, że nigdy nie poznamy całej prawdy mieści się w bezinteresowności sztuki”. Podczas spotkania z ludźmi, którzy licznie stawili się w galerii, Borowski powiedział, że dzisiaj powstaje tyle pustych obrazów, że mnożenie takich przedmiotów jest zbędne. Zatem autor owego przekonania uważa za bardziej sensowne żywe spotkania i rozmowy z ludźmi.

Do wystąpienia Borowskiego mam zamiar jeszcze powrócić, tymczasem chcę tylko wyznać, że obok pustych obrazów i innych przedmiotów estetycznych udaje mi się od czasu do czasu spotkać dzieła pełne, działające na wyobraźnię, skłaniające do refleksji pozaartystycznej i umożliwiającej coś tak staroświeckiego w dynamicznie zmieniającym się świecie, jak kontemplacja. Ja wiem, że się odkrywam, że łatwo mnie strzelić w zęby twierdzeniem o nieuchronnym i koniecznym wtopieniu się sztuki w rzeczywistość, o przewadze pomysłu nad rzemiosłem artystycznym. No cóż, proszę bardzo.

IJK

P.S.

Jak się okazuje, terenowym sprawozdawcom plastycznym spod znaku niefrasobliwego przypadku przybył wielce silny konkurent w osobie Ireneusza Szuberta, który w „Kulturze” z 3 września br. tak scharakteryzował twórczość pewnej młodej pani: „Tkaniny... mają statyczność i monumentalność, która zatrzymuje i skupia. Całość działa groźnie, ale nie odpychająco i tak jak wiele zjawisk węgla samego twórcę i każe ich naturę dotknąć, poznać, przez co dookreśla swoje doznania, a także stosunek do otoczenia”. Dookreślić się powinien kolega I. Szubert, który, jak nam wiadomo, czynnie zajmuje się malowaniem obrazów, pisanie wierszy oraz, jak to obserwujemy ostatnio krytyką plastyczną. Niestety, trudno dzisiaj o renesansowe wymiary...

MARIAN Kryński (pseudonim seniczny „Roland”), warszawianin rodem z Wilna — jest jednym z czterech polskich mistrzów iluzji (obok „Nemo”, „Salvano” i „Astralliego”), legitymujących się najwyższymi uprawnieniami artysty estradowego w naszym kraju, tzn. kategorią „S”.

Inżynier mechanik (absolwent renomowanej Szkoły Technicznej im. H. Wawelberga i S. Rotwanda w Warszawie, dziś już nie istniejącej) oraz artysta iluzji to jego dwie profesje, które tylko pozornie nie mają ze sobą nic wspólnego. Przecież jako inżynier konstruuje lub ulepsza niektóre rekwizyty, służące mu do pracy w tym drugim charakterze; zresztą rekwizytom magicznym ztobionym przez siebie najbardziej ufa — jeszcze nigdy go nie zawiodły. Obidwa zawody ma rzetelnie wyuczone, solidnie je wykonuje i, co wydaje się najważniejsze, oba jednakowo lubi.

Iluzję uprawia, z przerwą w okresie drugiej wojny światowej, od ponad 40 lat. I chociaż w swej przedwojennej karierze artystycznej pracował jako sztukmistrz w wesołym miasteczku („Sto Pociągów”, przy dawnym moście Kierbedzia w Warszawie) i magik w stołecznych lokalach rozrywkowych („Adria”, „Bodega”, „Paradis”) oraz występował m. in. jako hipnotyzer (w Milanówku) i prestidigitator (w poselskich i ambasadach), a po wojnie „ako iluzjonista w zespołach estradowych jednak jego główną specjalnością to recitale lub półrecitale iluzji dla dzieci. Przez kilka lat dawał koncerty nowoczesnej iluzji, również w Lublinie i Lubelskiem, współpracując z Henrykiem Zaharkiem, polskim wirtuozem ksylofonu. Obecnie pracuje niemal wyłącznie solo (bez asystentów i bez ornamentacji muzycznej) i najczęściej dla uczniów szkół podstawowych.

Co zawiera jego repertuar? Między innymi trick z książką dużego formatu, z której w czasie kartkowania i wypowiedzenia przez mistrza „tajemniczego” zaklęcia (czasem zupełnie swojsko dla dzieci brzmiące, np. „kugel-mogel”) — wyskakują różnobarw-

ILUZZJONISTA Z TYTUŁEM INŻYNIERA

Zygmunt Zdrojewski — „Aremi”

ne makrokostki (każda z nich to sześcian, którego jeden bok ma długość kilkunastu centymetrów), przy czym kostki takich pojawia się tyle, że łączna ich objętość jest kilkakrotnie większa od książki-matecznika. Co więcej? To już trzeba zobaczyć! A że na pewno warto, świadczą o tym recenzje z występów Kryńskiego, pełne komplementów i pochwał.

Interesująca, bo poparta długoletnią praktyką, jest teoria uprawiania iluzji, której on hołduje. Oto jej fragmenty. Uważa np., że rekwizyty iluzjonistyczne w spektaklach dla dzieci nie mogą być zbyt małe i nieciekawie wyglądać, muszą natomiast być wykonane oraz, co najistotniejsze, wykorzystane w sposób artystyczny. Głosi też pogląd — parafrazując słowa Maksyma Gorkiego — że: „dla dzieci trzeba prezentować programy iluzji tak samo jak dla dorosłych, tylko trochę lepiej”. Jest bowiem zdania, iż najmniej trudności sprawia iluzjonistom praca dla odbiorców inteligentnych (zazwyczaj bardziej podatnych na sugestie), więcej — dla widzów niewyrobionych (z reguły nastawionej wobec wykonawcy na „nie”) i najwięcej — dla dzieci (których reakcje są zaskakujące, zupełnie niemożliwe do przewidzenia; dla nich na przykład pojawia się czegośkolwiek to najczęściej „wyciągnięcie z rękawa”). Wszelako praca dla dzieci dostarcza również bardzo dużo satysfakcji i tyleż przyjemności, albowiem są one jednocześnie może najbardziej wdzięcznymi widzami.

Dzięki kilkunastoletniej — można by nawet rzec: stałej — współpracy z telewizją (seriale: „I ty zostaniesz czarodziejem”, „Magiczna pałeczka” oraz nadal emitowany w czwartkowe popołudnia program „Ekran z bratkiem”) jest Marian Kryński chyba najpopularniejszym wśród dzieci i młodzieży iluzjonistą. Ma też na swym koncie artystycznym kreowanie pierwszoplanowej roli w krótkometrażowym filmie pt.

„Czarodziej” (reżyser: Tadeusz Makarczyński), który przy końcu lat 60-tych wyświetlany był nie tylko w kinach krajowych, lecz także w telewizji zachodniemieckiej, a jesienią 1973 r. projekcja tego filmu odbyła się podczas III Czechosłowackiego Kongresu Magii w Pradze, gdzie główny aktor — i zarazem jeden z kilkuset uczestników tego kongresu — otrzymał za swój kunszt głośne brawa.

Artystów Iluzji przy Zarządzie Głównym Związku Zawodowego Pracowników Kultury i Sztuki — w dniu 10 maja 1976 r. wyróżniony został Srebrną Odznaką Zasłużonego Działacza tegoż Związku.

Znamienne powiedzenie Williama Szekspira: „Prawdy, choćby kryła się w niej śmierć, słucham jak pochwały...” jest ulubionym przez „Rollanda” aforyzmem. Jednak nie każdą pochwałę



Inżynier Marian Kryński — „Roland”

Marian Kryński ma najdłuższy staż członkowski w komisji kwalifikacyjno-egzaminacyjnej dla artystów estrady, działającej z ramienia Ministerstwa Kultury i Sztuki, a za pracę społeczną w Radzie Zakładowej Krajowej Sekcji

traktuje on jak prawdę. Ale niezaprzeczną prawdą w odniesieniu do Mariana Kryńskiego jest, że jego prostolinijność zjednała mu powszechny szacunek nie tylko wśród kolegów z branży artystycznej.

ZBIERANIE MATERIAŁU

Maciej Podgórski

JEDZIE trasą, którą zna już na pamięć. Nudna, przygnębiająca „autostrada” do Piask. Nudne, głupie myśli:

Szosa niby nowa, a już garby w poprzek, martwisz się o resory i teleskopy, jakbyś miał lepszy samochód, nie martwiłbyś się o resory i teleskopy, twój koleś po fachu niedawno wygrał duży fiat, wygrał, mówi, a może zwyczajnie kupił, i skąd on ma, cholera, pieniądze? Więc masz stary samochód i blisko czterdziestkę na karku, nie właścicielem nie osiągnąłeś w życiu, jesteś prowincjonalnym redaktorem, choć nie jeden i tego ci zaradzi i by się, jak to mówią, pomieniał...

Zaraz za Piaskami musi skręcić w lewo, szosą prowadzącą do nowo wojewódzkiej aglomeracji. Wolałby jechać prosto, ku miasteczku, gdzie fabryka ceramiczna, w której można załatwić kafelek i na glazurę w kuchni i łazience:

Zna kazala sobie glazurę w kuchni i łazience, dobre, iż n kazala zamieniać mieszkania, obecnie już trzeba własnościowe, kupa forsy... Teraz skręca w lewo, będzie tego z osiemdziesiąt kilometrów, sto sześćdziesiąt w obie strony, po dwa osiemdziesiąt za kilometr, około czterysta pięćdziesiąt złotych, plus czterdzieści dieta, czterysta dasz do domu, słowa ci zostanie, ale na benzynę poszło dwie stowy...

Na końcu tej trasy jest stary człowiek, który ma podobno ciekawą biografię, pisze wspomnienia. O tym starym człowieku ktoś znaczniejszy napisał: „Zarabiał korepetycjami których miał mnóstwo, trochę gospodarzył na gruncie odziedziczonym po rodzicach, trochę redagował tu i ówdzie jakąś gazetkę i... kochał się nieszczęśliwie i beznadziejnie, z czym nie krył się wcale. Ta miłość, z którą nie potrafił walczyć, zaciążyła na jego życiu: zdziwaczał i stał się kompletnym abnegatem”.

— Kiedy ostatni raz zakochałeś się nieszczęśliwie i beznadziejnie? Przypominasz sobie nauczycielkę chemii w dziesiątej klasie, miałeś wtedy siedemnaście lat i był rok 1956... Wróciłeś właśnie z brzdęk rolniczych w PGR Kieleczytów, zarobiłeś czterysta złotych, kupiłeś sobie welwetową marynarkę koloru brąz...

Stary człowiek przyjmuje go na progu chałupy, odryglowując wielki, żelazny skobel. Gospodarz ubrany jest w wypłowiałą welwetową marynarkę z lat pięćdziesiątych, koloru nijakiego raczej. Wyjmuje stos grubych kajetów, pęczuski listów powiązane sznurkami i gumkami od weków. Zaprasza do siadania. Po chwili dziennikarz widzi, że jego rozmówca ciągle stoi, oparł się łokciem o stół i ciągle na nogach:

— Niech pan siada, dlaczego pan stoi? — zrywa się w poszukiwaniu drugiego krzesła.

— Dziękuję, niech pan siedzi, ja to jestem taki, że wolę stać.

— Nie, proszę bardzo, będziemy sobie na zmianę. — Dobrze, niech pan słucha... Jest długa ulica Trubakowska, nazwa powstała od dawnego Trubakowa, tam była cegielnia w pobliżu, bardzo duży komin, po rosyjsku „truba”, bardzo duży komin, gdzie jakiś parobek popełnił samobójstwo, wlaź w kotły i tam z głodu zmarł, tam się urodziłem, ulica Trubakowska...

— Który rok pan jest?

— Co pan mówi?

— Który rocznik, z którego roku?

— Osiemset dziewięćdziesiąty szósty, tamten wiek... Ojciec przybył z niedalekich Rudek... Nie wyrażnie mówię, prawda?

— Nie, może być, niech pan troszeczkę wolniej mówi najwyżej.

— Ojciec był bednarzem, potem nabył dużo ziemi, był rolnikiem. Strasznie dbał o polski paszport i z tym paszportem umarł, w ubraniu, w którym umarł, był schowany paszport, i z tym paszportem poszedł na tamten świat.

Jesteś zaniepokojony, bo już wiesz, że on swą młodość, te kilkanaście lat, będzie opowiadał długo, detalicznie, nad resztą natomiast, kilkadziesiąt latami, przeleci jak z bicia strzelił... Miałeś już takich klientów — myśli dziennikarz.

— Kolegowałem się tylko z dziećmi pobliskich oficerów, podoficerów rosyjskich, to było moje towarzystwo do samego gimnazjum. Pierwsza klasa gimnazjum to jest dzisiejsze muzeum, tam, gdzie kierownik siedzi, nasza pierwsza klasa, poprzednio to był klasztor pijarów.

— Ale wiem, że pan podróżował dużo? — Zadajesz konwencjonalne pytanie i robi ci się mdło.

— Co pana ciągnęło?

— Jakoś była pierwsza wojna akurat. Trzecią klasę gimnazjum pozostałem repetować. Była zima, chciałem poznać ciepły kraj. Batumi. Taka natura, chciałem podejrzeć cały świat. Połtawa, Kijów, Charków, w Moskwie byłem dwa lata całe. Balagan na świecie, można się było wtedy włóczyć. W Moskwie internaty, szkoły polskie, ale uczyłem się marnie, przesiadywałem całe dni w bibliotekach, do szkoły chodziłem raz na tydzień, do gimnazjum, i tak się jakoś utrzymywało, pisałem wówczas rosyjskie wiersze, szesnasty rok to jest rok wierszy, były drukowane. W Batumi jeden poseł, z Moskwy aż do dalekiego Batumi jechało się wtedy tygodniem pociągami. Potem w Ba-

tumi pisałem jakąś nowelkę, tam było takie pismo uczniowskie „Pierewał”.

— Gdzie tu można zgasić papierosa, niedopalek u pana?

— Niech pan rzuca na podłogę, niech pan się nie krępuje, tu nie salony. Nędza, w której sobie nie daje rady... Tu mam fotografie z Moskwy, koleżanki młodości, sympatie młodości...



Rys. E. Ingłot

— Ale wrócił pan do kraju.

— Jakoś po trzech latach wróciłem. Już nie zastałem ojca, jak przyjechałem. Nie poznałem brata, który wyciągnął się w górę. Matka postarzała, prowadzili gospodarstwo na Trubakowie, chowali zboże, taka była skrytka za piecem, bo Austriacy zabierali zboże. Przyszedłem, wszystko zrujnowane, mieszkali bardzo nędznie. Zaczęłem reperować im dom, ze stajni, którą zrobili w drugiej połowie domu, przez trzy miesiące lepiłem, stolarzowałem, wstawiałem szyby, pułap, podłogę, wszystko sam, pomalowałem, zrobiłem pruski mur. Rzeczy, których nigdy nie robiłem i doskonale mi szło.

Po co on mi to wszystko opowiada, co mnie to wszystko obchodzi, gdzie te rewelacje, ciekawa biografia? — myśli redaktorka i chwali sobie, że w każdym razie założył baterie do magnetofonu, bo w chałupie brak elektryczności.

— Potem zostawiłem to, jadę do Kowla na lekcje, pobędę sezon tam, zarobię trochę pieniędzy, wrócę, znów gdzieś jadę, do Kobrynia, tam niekoniecznie mi poszło, musiałem wyprzedać rzeczy, żeby wrócić do domu. Brałem się trochę za takie sprawy, na przykład wykladać język angielski, którego sam nie znałem, więc brałem podręcznik... Do Kowla jeździłem kilkanaście razy, trzy-cztery miesiące wytrzymam, osiemnaście, dwadzieścia lekcji w kompletach. Płacili bardzo dobrze, można wtedy było za to kupić cztery, pięć krów. Na zimę gdzieś w świat za tymi lekcjami. Pojechałem tak samo do Równego na lekcje, nie było tego wiele, to i podjąłem redaktorstwo. Tam wychodziło „Echo Rowieńskie”, gazeta polska. Tam była jeszcze żydowska gazeta i rosyjska gazeta monarchistów, którzy się w Równem zbierali, bo mieli niedaleko już granicy. Inżynier Siemaszko porzucił Równę i porzucił „Echo Rowieńskie”, porzucił tę gazetę i oddał mi w ręce, miałem zupełną swobodę, pisałem co chciałem, dużo felietonów stamtąd jest, tam byłem prawie rok, gazeta była marna... Potem już rzucam to wszystko i chcę się ustabilizować. Spotykam zaraz po śmierci matki tę osobę: śpiewaczka, ogrodniczka, siostra miłosierdzia, nie skończone studia, seminarium pauczycielskie w Lublinie. Wspaniała dusza, ale, prawda, z rodziny słabej psychicznie. Była bardzo piękna, zobaczyłem ją w trzydziestym czwartym roku, po śmierci matki, po śmierci innej osoby, która mi zabrała dziesięć lat, przypadkowo poznałem tu niedaleko u ogrodników. Była o trzynaście lat młodszą. Podczas wojny w czterdziestym wzięliśmy ślub...

— Wtedy pan miał czterdzieści cztery lata. Ale że pan wcześniej nie... Ze pan miał te jakieś dzie... tam różne panie, prawda, panienci? To się pan nie chciał żenić?

— No tak, ale czy one chciały?!

— Dlaczego one nie chciały?

— A rozmaite, przecież to całe romanse, pan wie, jak to w romansach jest rozmaicie. Jedna miłość, druga, nauczycielka-Ukrainka. Listy, Piękna Żydówka, Roza L. Potem Stefa D. Te miłości wzięły po dziesięć lat, korespondencja platoniczna. Dość, że się w końcu ożeniłem, ale dzieci nie mieliśmy. Dziesięć lat mieszkaliśmy na Trubakowskiej, wzięliśmy tam ogrodnictwo, kwiaty, kwiaty, kwiaty... I nasiona. Ładne aleje, ładne ogrodzenie, to wszystko zrobiłem sam. Mieliliśmy tor przed oczami, wszystkie pociągi z Żydami i rannymi, jakieś dwadzieścia dwa metry od toru mieszkaliśmy. Nasadziła drzew sama, malin, porzeczek, jednym słowem: założyła ogród, bo przecież ja się na tym nie znamem, dopiero potem zacząłem się poznawać...

— A tutaj odkąd pan mieszka?

— Tu była jej działka, sad, jabłonie, obkradali. Porzuciliśmy po dziesięciu latach wszystko, cośmy tam zrobili, i tutaj, żeby ratować jej majątek, ogrodnictwo cały hektar, porobiłem alejki. Woziliśmy nasiona na rynek, ja nosiłem kwiaty, ponieważ nie lubiłem sprzedawać, więc rozdawałem za darmo, tutaj w mieście obdarzonych kwiatami jest chyba ze dwieście osób, znajomych i sympatycznych, i tak dalej. Mieliliśmy własne torebki, własną firmę, żona nasiennictwo dobrze znała, dwadzieścia gatunków warzyw, tyle samo gatunków kwiatów... Tu żyliśmy i tu żona umarła w siedemdziesiątym trzecim. Zaczęłem pisać, przez rok pisałem te wspomnienia, cztery tomy. Bardzo dawno jeszcze zacząłem pisać wspomnienia po rosyjsku w szkolnych czasach. Potem te rzeczy powtarzałem po polsku już po sześćdziesięciu latach... Ciekawe, bardzo ciekawe wspomnienia...

Dziennikarz od dawna dyskretnie rozgląda się po chałupie. Jedna izba, dwa okna zamknięte, choć na zewnątrz słoneczne popołudnie września, prześwietlające swobodnie przez dziurę w rogu pokoju. Szczerbate belki ścian poobijane papierem pakowym. Sprzęty stare, chybotliwe, poczerniałe jak heban od wieku i od dymu, który wydziela węgiel z kuchienki stojąca pośrodku. Obok kubel z wodą, a pod ścianą wyrasta spora kupa węgla. Wykładany materiał do samotnej starości.

— Tu się nafta świeci — mówi stary człowiek. — I węglem się pali. Teraz mam marną lampę, rozdałem dobre lampy po śmierci żony, bo ja po śmierci żony dużom rzeczy rozdał, rozdarował. Gotuję sam, kiedy się chce, to się gotuje, kiedy się nie chce, to na sucho. Właściwie przez te trzy lata mocno zmarnowałem zdrowie, właściwie nędza taka, starcza nędza, pan przecież widzi. Chce pan, to panu jeszcze szczegółów opowiem. Mam tu całą noc gości, szczerzy, trzeba wszystko chować, czasem musiałem żywność wieszać na sznurku...

— Z czego pan żyje?

— Sprzedałem ten hektar, tysiąc sto renty mam, więc jest pieniędzy trochę i mając pieniądze, nie potrafię żyć. Jakaś przeprowadzka przerasta mnie, nie dam rady, nie dam, przetrzasza mnie właściwie po prostu krępuje inne miejsce, nawet lepsze, ale oczywiście, może by... Ja sobie myślę, jaka to będzie dalej starość, już się czuję źle, boję się, że coś się stanie lada tydzień, i martwię się, żeby te papiery komuś oddać, może do biblioteki by pan zawiózł, żeby to oddać zawczasu. Tylko o to mi chodzi. Może ktoś z tego coś kiedyś napisze, bo ja wiem? Tracę ostatnio wyrazy, wyrazy tracę, zapominam, teraz niszę tutaj, podatek spadkowy mam płacić, tygodniami piszę i jeszcze nie skończyłem, męczy mnie już pisanie okropnie. I od dawna bezsenne noce. Ostatnie trzy lata to mam okrągłą bezsenność. Może od kilku dni trochę więcej śnie. Nad ranem dwie, trzy godziny pośpię. Co się robi w nocy? Piszę się wspomnienia w nocy, przemyśla się miasta, mieszkania przebiegam, lata, osoby. Jest to bardzo przyjemne, ale przecież bezsensowne, tylko że nie można nie myśleć, przyjemnie jest myśleć o tamtym wszystkim, więc tak się spędza noce. Tylko mnie martwi, żeby to moje życie zapisane nie zginęło, życie bardzo tragiczne, źle się uczyłem, siedziałem w klasie trzeciej, czwartej po dwa lata, piątą cudem tylko przeszłem, nie dbałem o naukę, jedynie książki, czytanie i tak dalej... Całe życie miłości, wiersze i podróże, wędrówki. Ciekawy typ, tragiczny typ i słaby typ...

Dziennikarz wracając, zaelada do przydrożnej knajpy w Piaskach. Sety nie może, bo orowadzi samochód. Więc flaki, o tej porze dobrze już rozwodnione. Obok siedzi charakterystyczne towarzystwo: trzech wesolych, noczerwieniłych, rozbarwionych, wznoszących kielichy; i czwarty — znużony, smutny, ziewający, zjadający już trzeci kotlet schabowy, ale bez wódki. Panowie na delegacji oraz ich kierowca.

Z tego storuszka możesz napisać niezły, ciepły kawalek z leżką, tylko czasy zaborów trzeba by lekko stonować, no i tę nędzę egzystencjalną, niewchodzącą tragedię starości też lekko zamolić. Sądzi, że on nie zamykał, o co tak w ogóle chodzi na świecie, co jest ważne w życiu i czy on się boi śmierci? Ale i tak materiał jest — myśli dziennikarz. Myśli i myśli nad stolikiem zalanym piwem w podrzędnej knajpie, aż nareszcie odechciewa mu się pisanie o tym starym człowieku, bo czuje, że swą czterdziestoletnią mądrością w żaden sposób nie potrafi udźwignąć tej sprawy.

Mieczysław J. Warszawski

BIALA CHOROBA

Wapienne sito przez płuca W aorcie
W oskrzelach Na ustach nieco tlenu
Jak sanatoryjna pieszczota Zostało
Jeszcze ostatnie krwotoki przeczekać

Już nieżyjne Ciało bez odzienia
Ledwie parę włosów Już prawie białe
W kitlu higienicznym Podczas transfuzji
I z trupią czaszką przypiętą fantazyjnie

I wciąż zachłyśnięcie tą drapiezną śliną
Gdzież okoliczne krynice Jakaż metafora
Zewsząd stetoskop Nieobeznane terytorium
Oraz podróże dyszących świec jawią sen

I waży się wiersz Chichocze Zwodzi oczy
Wykręca ręce Dławi usta Za chwilę zeżre

Jeszcze przychodzę
jeszcze odchodzę
w tej strefie mijania
będąc tu po raz pierwszy
i ostatni
jak niedobry sen
który zrzuca mnie
w pewność
że przyjdzie mi w końcu
jeszcze odbyć to spotkanie
z samym sobą
na zawsze

BADANIA lubelskiej Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej dokonane w Łęcznej wśród czytelników w wieku piętnastu — dwudziestu lat wykazują, że dobór wypożyczeń związany jest przede wszystkim z klasyką i w ogóle z lekturami szkolnymi, a jeśli młodzi sięgają do literatury współczesnej, to głównie do książek autorek brylujących cza sowo w tak zwanej literaturze młodzieżowej, rzadko zresztą osadzonej fabularnie w typowej rodzinie polskiej, ale we współczesnych sferach wyższych. Można sądzić, na podstawie innych badań i obserwacji, że jest to

organizatorów czytelnictwa, ani tych, którzy nimi mieliby zostać w przyszłości).

Corocznie zbyt wielu młodych ludzi, szczególnie na wsi, nie kończy we właściwym czasie szkoły podstawowej, poprzestając nawet na czwartej, piątej czy szóstej, nie mogąc osiągnąć wyżyn klas siódmej i ósmej. Wyśiłki władz oświatowych i organizacji młodzieżowych sprawiają, że wprawdzie rocznie kilkuset opóźnionych wznowia naukę na specjalnie zorganizowanych dla nich kompletach, ale wytrwałością wykazuje się niewiele. W ubiegłym roku oświatowym np. w ten sposób ukończyło w całym

becnie, gdy wkroczyli w wiek zawodowo aktywny. Hasło: „Każdy członek ZSMP czytelnikiem biblioteki” nie może pozostać tylko apelem. Różnorodne formy oświatowe i kulturalne tego Związku mogą tę ideę uczynić rzeczywistością i poszerzyć ją także na młodzież niezrzeszoną.

Podstawowym warunkiem spełnienia się tych przedsięwzięć jest dostępność książki. Praktyka jest taka, że na ogół pragnący wypożyczyć książkę ma do biblioteki miejskiej, gminnej lub ich filii i punktów nie dalej jak trzy kilometry. Często jednak taki punkt wielu mija latami, jak przydrożne drzewo, nie uświadamia sobie nawet, że istnieje on dla nich. Na Lubelszczyźnie jedna trzecia mieszkańców może korzystać bezpośrednio z księgozbiorów gminnych bibliotek publicznych reszta zdana jest przede wszystkim na punkty biblioteczne, prowadzone społecznie przez entuzjastów propagowania książki, często właśnie ludzi młodych. W wielu wioskach jednak nie ma dotąd takich punktów, ponieważ nikt nie jest zainteresowany upowszechnianiem czytelnictwa i tu właśnie może okazać się owocna inicjatywa Zarządu Wojewódzkiego ZSMP w Lublinie. Są wioski, w których wprawdzie punkty takie kiedyś były, ale przestały istnieć na skutek wyjazdu organizatora czytelnictwa lub zaniku jego działalności. Teraz trzeba znaleźć następców. W planowaniu sieci punktów bibliotecznych muszą więc wraz z kierownikiem gminnej biblioteki i naczelnikiem gminy oraz jego pracownikami uczestniczyć zarządy gminne ZSMP, jako te, które będą mogły pozyskać przyszłych organizatorów czytelnictwa spośród swoich aktywistów.

Łęczyński „I Wojewódzki Jarmark Czytelniczy” stał się rzeczywistym rynkiem pomysłów, do świadczeń, wypracowanych przez różne środowiska form i metod pracy z literaturą i prasą, jak tego chcieli organizatorzy. Spotkania z pisarzami, dzień nikażami, recytatorami, udział w przedstawieniach teatryku poezji i najmłodszego widza, w swobodnej i obszernej dyskusji zapoznanie się z dorobkiem najlepszych organizatorów czytelnictwa na wsi i w zakładach pracy — zapewne dobrze się przysłużą poprawie w tej dziedzinie. Pomysły tam wypowiedziane lub już realizowane nie zostały opatentowane, mogą się z nimi zapoznać także działacze młodzieżowi i inni z sąsiednich województw, szczególnie teraz, gdy rozpoczął się nowy rok kulturalno-oświatowy i sezon jesiennozimowy sprzyjać będzie propagowaniu czytelnictwa, no, i gdy zbliża się listopadowa dekada książki społeczno-politycznej: „Człowiek-Swiat-Polityka”. Myślę, że również władze oświatowe winny zaniepokoić się nie-trwałym wpływem szkoły podstawowej, zasadniczej i średniej na kształtowanie się nawyku czytelniczego oraz właściwych gustów. Smutne rezultaty podejmowania tematu współczesnego w pracach maturalnych są dowodem, że wiele jest do zrobienia w placówkach oświatowych i wśród samych nauczycieli. A na tych przecież młodzieńcy liczą tak że poza szkołą.

„JARMARK CZYTELNICZY” W ŁĘCZNEJ

Aleksander Jański

prawidłowość o wiele szersza, rozciągająca się zresztą także na następne dziesięć roczników, które można by do młodzieżowych zaliczyć, z tym, że tam właśnie procent czytających znacznie spada, co dobrej prognozy na przyszłość nie daje.

W tej sytuacji, gdy przede wszystkim czynnikiem stymulującym czytelnictwo są wymagania lektur szkolnych, każde poczynanie na rzecz rozszerzenia grona wypożyczających i rodzajów literatury, pogłębienia zainteresowań czytelnicy, można tylko uznać za szczególnie pożądaną. Poza tradycyjnym już sojusznikiem w rozbudzaniu zainteresowań, jakim są akcje Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, bibliotekarzom przybył ostatnio Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej w województwie lubelskim, który po ZSMW przejął w spadku ideę oddziaływania na swoich członków i ich rówieśników poprzez upowszechnianie czytelnictwa na wsi, ale także w zakładach pracy. Wrazem tego był zaaranżowany ostatnio przez Zarząd Wojewódzki ZSMP „I Wojewódzki Jarmark Czytelniczy” w Łęcznej, którego współorganizatorami byli: przede wszystkim Wojewódzka Biblioteka Publiczna, ZW TWP, Przedsiębiorstwo Upowszechniania „Prasa — Książka — Ruch” oraz WZGS. Wzięli w nim udział młodzieżowi organizatorzy czytelnictwa i oni, oprócz referentów, wypowiadali się dość interesująco o swojej dotychczasowej i zamierzonej pracy społecznej w środowisku, w którym mieszkają i działają. (Szkoda, że wiele zarządów miejskich i gminnych nie doceniło inicjatywy wojewódzkiej instancji i nie przysłało swoich

kraju szkołę podstawową zaledwie 35 osób. Smutne, bo to zbaga telizowanie nauki przez młodych i ich rodziny powoduje często wtórny analfabetyzm. W myśl obecnych przepisów nie mogą oni zdobyć zawodu, otrzymać papierów traktorzysty, nawet nie mogą dziedziczyć ojcowskiego gospodarstwa. Tym bardziej więc nie można liczyć, że staną się oni kiedykolwiek czytelnikami zbiorów biblioteki gminnej. Badania Zarządu Głównego byłego ZSMW wykazały, że 32 procent młodzieży wiejskiej w ogóle nie czyta, a wśród pozostałych 68 proc. sytuacja układa się bardzo nierównomiernie. Stąd inicjatywa ZW ZSMP i WBP w Lublinie jest tak ważką.

Kontynuowanie konkursów „Złoty klas dla twórcy, srebrny dla czytelników”, „Bliżej książki współczesnej” oraz TWP-owski „Książka źródłem wiedzy” daje sporo okazji do rozpowszechnienia czytelnictwa, ale wśród już czytających. Pozwala to na pogłębienie świadomości czytelnicy, dokonywanie wyboru rodzaju książki, uznanie jej nie tylko za rozrywkę, ale i narzędzie kształtowania świadomości oraz umiejętności zawodowych. Natomiast batalia, w tej chwili jest naceLOWANA szerzej: owszem, zwiększenie częstotliwości wypożyczeń przez młodych czytelników, kształtowanie ich gustów, ale przede wszystkim po zyskanie nowych miłośników książki wśród tych, którzy dotąd nie sięgają po nią wcale. Książka, oprócz zwykłych szkoleń w kołach ZSMP, ma stać się ważkim narzędziem kształtowania świadomości i osobowości młodych rolników i robotników, a także tych, którzy uważają się za racji świadectw i dyplomów za inteligentów, ale nie potwierdzają tego wzbogaceniem zdobytej w szkołach wiedzy, kupowaniem lub wypożyczaniem książek o-

Wracam z wczasów

Barbara Koś

Nie ma chyba nic bardziej śmiesznego,
mój chłopie

Niż świadomość,

Ze jesteś właśnie po urlopie.

Ze stoisz sobie właśnie gdzieś na wiejskiej
stacji

I pięćdziesiąt tygodni masz znów do
wakacji...

(Ludwik Jerzy Kern).

CALA wieś już wie, że odjeżdżamy. Nasze spakowane walizy przyciągają oczy wszystkich oczekujących wraz z nami na autobus. — Coś się dziś spóźnia — martwi się jakaś staruszka. — Zdążył, babciu, zdążył — pociesza ją długowłosa młodzieniec — toć każdy śniadanie zjeść musi! O, już jedzie!

Autobus PKS jest tutaj także familijny. Pasażerowie stanowią wspólnotę, do której my, archaiczni zwani letnikami, nie mamy wstępu.

Przystań, Jasiu, na górce! — chrzypi zarośnięty jegomość. — Dobrze, dobrze — rzuca kierowca — ale tam zalało wodą! Nie przejdziecie! — Ma buty! — popierają proszącego sąsiedzi. — Hej, hej! — słychać za szybą. To spóźniony pasażer dogania nas rowerem. Ciska go pod cudzym obejściem i wskakuje do wozu. Jedziemy w luksusowych wprost warunkach, zapominamy nawet, że za chwilę czeka nas jazda pociągiem w otoczeniu mniej przypominającej rodzinny.

Dunajec błyszczy wzdłuż szosy. — Wolne koło pani? — w przejeździe pojawia się raptownie nieznanemu nikomu podróżny. Lysą głowę okrywa szczerze coś w rodzaju beretu, ciało przyobleka suknią do samej ziemi, w ręku pielgrzymi kostur. Turysta? Eremita? — Wolne, wolne — skwapliwie odsuwam się od okna, może to Pustelnik Czorsztyński ożył? — O Boże, zakręć! — Boi się pani zakrętów? — szczyrzy zęby przybysz, — he, he, he, — ja kiedyś też się bałem! Przejęta nagłą trwogą, nie śmiem zapytać nawet, co znaczy to kiedyś...

Pociąg oczywiście jest przepelniony, choć słowo to nie w pełni adekwatnie oddaje istotny stan rzeczy. — Naród z państwowych wczasów wraca to i tłok — konkluduje stary kolejarz — przed wojną... panie...! — Co pani z tą walizką?! — syczy wyfiokowana paniusia — trzeba troszkę uważać! — Oj, nerwowi dziś naród, nerwowi! — unosi głowę drzemiący na podłodze dziadek. Po dłuższej chwili lokujemy się wreszcie na własnych walizkach. Można rozejrzeć się dookoła. Społeczność II klasy pociągu pospiesznego stanowi dwie klasy i to w największym stopniu antagonistyczne: Przedział — kilkugodzinna arystokracja oraz Korytarz. Między tymi warstwami znajduje się jeszcze Stan Trzeci — Jadący w Toalecie, ale są to nieliczni uprzywilejowani. Korelacja zachodząca pomiędzy tymi trzema grupami jest swoista i w żadnych innych układach społecznych niemożliwa.

— Dlaczego Tam jest zajęte?! — rozpaczliwie dopytuje się mamusia z małym synkiem. Przez korytarz przetacza się bez przerwy fala spacerowiczów. Wychodzącym z przedziału — biada! — Nie dość, że siedzą — oburza się tegi mężczyzna — to jeszcze się kręcą! Sam już piąty raz idzie na piwo, jako że tylko ten napój znajduje się w bufecie. Bo Korytarz może chodzić bez przeszkód. W tę i tamtą stronę. Potrzebujący przepuszczani są bez szemrania.

Pociąg pędzi niezmordowanie. Już druga w nocy i Przedział śpi dawno.

Światła wielkiego miasta i znów ciemność. Już i niektórzy z Korytarza usiłują spać. Na gazetkach, na tobołkach. Marynarz śpi na stojąco, nawykł przecież do kołysania. Znow światło i raptownie pociąg zatrzymuje się. Wszyscy wpadamy na siebie. Śpiący dotychczas na grzejniku staruszek rażno podrywa się do okna. — Synu! — krzyczy do przechodzącego kolejarza — synu! Dlaczego stoi? — Czego? — nie dosłyszysz zapytany. — Dlaczego stoi? — wola głośno reprezentant zbiorowej ciekawości. — A to się swojej baby o to zapytaj! — celnie ripostuje reprezentant PKP. Cały korytarz trzęsie się od śmiechu. Niewiasta jakaś położyła się pod pociąg — staruszek nie daje się zbić z tropu. — A pod kogo się miała położyć?! — konstataje ze zgrozą kolejarz — pod was, dziadku? Niewiele by jej z tego przyszło!

Korytarz zasypia ponownie. Zaczyna świtać, choć do celu jeszcze daleko. Niezmordowana staruszka pani zapoznała już współtowarzyszkę ze wszystkimi swymi przodkami. — Pozazdrościć pani takiej rodziny — sennie przytakuje jej sąsiadka, kielając się na swoim neserze — mój kuzyn raz tylko gościł we dworze. Zawsze to opowiada. — Clociu — mówi — podano taką wspaniałą pieczęć, z jeszcze wspanialszym sosem. Ale było go strasznie mało. Więc przechylałem ten półmisek i przechylałem... na to skłania się lokaj i szepce mi do ucha: sos jest, jaśnie panie, w sosjerce...

Spod grzejnika, przebijając rytmiczny stukot pociągu, dolatuje pochrapywanie dziadka. Od czasu do czasu otwiera oczy i mówi coś do siebie. Tylko do mnie, okupującej sąsiedni grzejnik, dociera jego słowa: I pochodzenie człowiek ma szlacheckie, i do sąkół go wozili... do tyłu sąkół go wozili!... I na korytarzu!!!

POD PARAGRAFEM

Rozwiedzeni odkryci na nowo

TAK czasem bywa w życiu: pobierają się bardzo młodzi ludzie, jeszcze jako studenci, następnie kończą studia, stają do pracy i zaczynają się powoli „dorabiać” — mieszkania, dzieci, telefon, samochód i tak dalej. Dzieci dorastają, usamodzielniają się, opuszczają dom rodzinny, gdzie pozostaje dwoje niestarych jeszcze ludzi, którzy powoli przychodzą do wniosku że niewiele już ich łączy i mają ochotę ułożyć sobie życie oddzielnie. Taki „motyłkowy wiek” czy „babie lato” między czterdziestką a pięćdziesiątką, chęć wycisnienia maksimum z życia, zanim się człowiek doszczętnie zestarzeje.

Podobnie było i w tym przypadku. On i ona znaleźli sobie partnerów pozamałżeńskich. On i ona pracowali zawodowo, żyli oddzielnie na swe utrzymanie. Powstawały scysje na tle wspólnego samochodu, więc go sprzedali. Łączyły ich tylko rachunki za telefon, światło i gaz we wspólnym mieszkaniu, które teraz zresztą zostało podzielone na „strefy przynależności” — ten pokój mój, tamten twój, kuchnia i łazienka wspólne.

Nie jest to wszak rozwiązanie optymalne — takich dwoje obcych ludzi w jednym lokalu mieszkalnym. Te złowrogie, napięte milczenia między nimi. Te wymówki o pozostawione w kuchni brudne gary, o

zachlapaną łazienkę. Sytuacja, w której papierek nieumyślnie rzucony na podłogę w korytarzu urasta do rangi problemu. Nie dochodziło w tym przypadku do awantur, wyzwisk, albowiem ludzie byli kulturalni. Co najwyżej ktoś głośniejszy coś powiedział w kuchni, z rozmachem zatrzęsano drzwiami wyjściowymi. Ciche piekło między ludźmi, którzy już nawet patrzeć na siebie nie mogli.

I stanął problem rozdziału mieszkania. Ale wpięć musieli uzyskać rozwód, inaczej spółdzielnia nawet nie chciała rozprawić o przydzieleniu dwu odrębnych lokali. Pozew o rozwód wniósł do sądu on, bo tak się umówili. Pozew o rozwiązanie małżeństwa bez orzekania o winie stron, na co ona także wyraziła przed sądem zgodę. Ale rozwodu nie otrzymali.

Badając sytuację w tym małżeństwie, sąd doszedł do wniosku, iż brak zupełnego rozkładu pożycia małżeńskiego między stronami, ponieważ okazało się, że małżonkowie wspólnie spędzają święta — przy jednym stole wraz z dorosłymi dziećmi i ich rodzinami. Stała się także kwestia pierożków, które ona kiedyś ugotowała i spożyła z nim wspólnie. To, co było wyrazem kultury i taktu obojga małżonków, stało się, niestety, argumentem przeciwko nim. I jest to ten szczególny przypadek, kiedy muszę wyraźnie powiedzieć, iż nie przekonuje mnie wyrok sądu.

Jeden błąd pociąga drugi i oni, zamiast składać rewizję od wyroku sądu pierwszej instancji, umówili się inaczej. On zaczął popijać tego, choć dotąd raczej popijał umiar kowanie. Będzie wracał wieczorami

zalanym, awanturował się głośno, żeby sąsiedzi słyszeli, których w końcu ona o pomoc poprosi. I tak było czas jakiś, aż wreszcie ona — moment kluczowy — wezwwała milicję do jednej z takich „awantur”. Milicja przybyła, sporządziła protokół, zabrała pana do izby wytrzeźwień, za co zresztą rachunek małżonkowie solidarnie, acz po cichu, pokryli po połowie.

Za jakiś czas do sądu wpłynął nowy pozew o rozwód tej pary. Ona wnosi o rozwiązanie małżeństwa z jego winy, bo on ostatnio pijak się zrobił niemożliwy i awanturnik. Sąsiedzi mogą poświadczyć, jest odpowiedni protokół milicji i tak dalej. Dzieci, odpowiednio przez rodziców „ustawione”, zeznają, jak potrzeba, i małżonkowie rozwód otrzymali. Ponieważ sąd uznał winnym — za zupełny rozkład pożycia — jego, więc jemu przysądził pełne koszty sprawy. Ale rozwiedzeni małżonkowie, znów solidarnie i po cichu, pokryli te koszty po połowie.

Sytuacja zrobiła się taka, że teraz już oni mogli wystąpić do spółdzielni o przydzielenie dwu odrębnych mieszkań. Ale... nie wystąpili i mieszkają razem jako zgodna i kochająca się para, acz przecież rozwiedziona. To wspólne boje o rozwód tak ich do siebie zbliżyły! Smaku temu nowemu związkowi przydaje fakt, że każde z nich jest wolne, każde może wystąpić o mieszkanie dla siebie. Dobrowolna wspólnota dwojga niezależnych jednostek. Może tego im właśnie było potrzeba? Zerwania więzów formalnych, żeby siebie zobaczyć i odkryć na nowo!

pom



Konrad Szurowski, olej, 1973 (patrz „Okolicie sztuki” str. 10)

BARAN 21 III – 18 IV

Okres nieco spokojniejszy bez większych konfliktów domowych, ale może dojść do pewnego spotkania, które zaważy na twoich dalszych losach. Hamuj nerwy, postępuj rozsądnie.

BYK 19 IV – 20 V

Ta sprawa nie powinna cię tak bardzo angażować zwłaszcza, że ma więcej złych stron niż dobrych. W pracy możesz skorzystać z pewnej szansy, ale i inni mają na to ochotę. Od twójgo zdecydowania zależy, jak się to wszystko zakończy. W domu — bez zmian i w tej chwili nie bardzo należy liczyć na poprawę.

BLIŹNIĘTA 21 V – 20 VI

Ciepło, ciepło! Wiesz już teraz dobrze, jak daleko postępować. Jeżeli już nastąpiła zmiana pracy, pamiętaj, aby od razu dać się poznać jako dobry, odważny i pracowity. W sprawach sercowych kończy się rozdział. Bądź, aby nie popsuć obecnego nastroju.

RAK 21 VI – 22 VII

Chyba najlepiej nie udaj się do tej sprawy roz-

HOROSKOPY

Ważne od 3 do 20 X

grać, ale jeszcze nie wszystko stracone. Ale uważaj: nowa znajomość dużo zmieni w twoim życiu. Bądź bardziej taktowny, bo to właśnie może być właśnie TO na co czekasz.

LEW 23 VII – 22 VIII

Naprawdę jest dobrze, a decyzja, którą wreszcie podejmiesz w niełatwej sytuacji przyniesie ci sporo zadowolenia i satysfakcji. Oczywiście na efekty trzeba będzie jeszcze trochę poczekać, nie musisz być w gorącej wodzie kąpany. Prowadzenia!

PANNA 23 VIII – 22 IX

W tej sprawie może trochę pomóc lekarz, ale wszystko zależy przede wszystkim od ciebie. Nowa praca — jeśli zdecydujesz się na nią — będzie miała sporo plusów, ale warunkiem jest stale podnosić swoje kwalifikacje zawodowe. W domu raczej pogodnie.

WAGA 23 IX – 22 X

Wielej samokrytyki! Zdąrzy się, że mówisz wiele rzeczy zupełnie niepotrzeb-

nych. I po co tak zbytnio interesujesz się teraz bliżniemi? Ostatecznie każdy chce mieć swój intymny świat. Zamiast pomóc — na ogół szkodzi, bo nie trzeba wtrącać się w czyjeś bardzo prywatne sprawy.

SKORPION 23 X – 21 XI

Skorpiony będące na spóźnionym urlopie przeżyją wiele. Nowe wrażenia, nowe znajomości. Skorpiony, które urlopy mają już poza sobą, muszą teraz poważnie włączyć się do pracy uważając, by nie zrazić sobie kolegów. Planowana inwestycja jest na pewno potrzebna, ale czy już w tej chwili?

STRZELEC 22 XI – 21 XII

Z chmurami jakoś sobie poradziłeś i właściwie teraz nie stoisz na przeszkodzie, by poważnie pomyśleć nad tym, co dalej. W sprawach prywatnych wchodzi teraz w okres bez poważniejszych konfliktów, ale uważaj, bo bliska ci osoba zaczyna trochę krecić. Na razie nie jest to nie poważnego, nie mniej trzeba się mieć na baczność.

KOZIOROŻEC 22 XII – 20 I

Twój optymizm wiele ci pomaga, ale są sytuacje, w których musisz działać bardziej zdecydowanie. Rzecz w tym, pewnych spraw nie należy rozwiązywać połowicznie. Kompromis jest oczywiście potrzebny, ale i tutaj trzeba się zastanowić, czy w przyszłości nie obróci się on przeciwko tobie.

WODNIK 21 I – 18 II

Nowa znajomość jest na pewno interesująca, małe sobie wzajemnie wiele do powiedzenia. To dobrze, ale odległość nie zawsze będzie sprzyjała uczuciom. Może to i lepiej, bo gdybyście się tak poważnie zaangażowali, obojgu wam byłoby trudno. Nie rezygnuj jednak z tego szczęścia, które nazwawsz małym. Na razie dobrze i to, zwłaszcza po ciężkich przeżyciach.

RYBY 19 II – 20 III

Kłopoty już poza tobą, chociaż musiałeś sporo się nadenerwować. Ale innego wyjścia naprawdę nie było i dziś już nie żałuj tego, co się stało. Należy jednak wystrzegać się pewnych wniosków na przyszłość. Rady otrzymuj bawiaj rozmaito, selekcyjnie je sam.

Stella

PRZED 100 LATY

Wystawa pracy kobiet w Warszawie mało stosunkowo dotychczas na prowincji znajduje poparcia. [...] Aby się tego rodzaju przedsięwzięcie powiodło, potrzeba wystawę szukać, wskazywać im i zachęcać. Lublin pod względem rozwoju pracy kobiet jest jednym z pierwszych wśród miast prowincjonalnych. Niewieleśce rece prowadzi u nas dwa zakłady fotograficzne, dwa warsztaty szewskie, zakład rekawniczy, Introligatorski, obralniczy, mamy dalej wysoko ułożone kwaciarki, mamy mnóstwo magazynów przyrządzających wesele przywiozcie ubrania damskie, na koniec mamy prowadzone przez kobiety sklepy, nawet sklepiki, które mogłyby wystawić kobiety buchalteryjne z lat wcześniejszych o ile takowe na wystawie zastępują.

Szkola realna p. Tolowińskiego zamierza wprowadzić u siebie lekcie gimnastyki i fechtunku. Po chwili codziennie całkowitego uznania. Nauka gimnastyki, tak w

PRASA LUBELSKA PISAŁA

ogóle zaniedbana, z dniem każdym coraz potrzebniejszą się staje, w miarę jak dzisiejsze pokolenie poprzestaje na umysłowej pracy, przez ciąg całego życia zaniedbuje swe siły fizyczne. Mówiąc o tej szkole nie od rzeczy będzie wspomnieć, że, jak nam mówiono, w czapkach takich, jakich używają uczniowie tej szkoły, wleczą się po mieście gemeny do niej nie należące, a mogące ją w pewnych razach swoim zachowaniem kompromitować. Byłoby zatem pożądanym, aby uczniowie szkoły używali stale całokształtu dla niej przypisanego umiędzynarodowienia, przez co zarazem ułatwiony zostanie nadzór zwierzchności szkolnej.

Trabki jako sygnały na drodze żelaznej Nadwiślańskiej mają być zniecone, a w to miejsce wprowadzone sygnały optyczne i

dzwonkowe używane przez inne tutejsze drogi żelazne.

Wszystcy biografowie Sebastiana Klonowicza jednoznacznie podają datę jego śmierci na rok 1668. Data ta jest mylna, o czym świadczy dokument znajdujący się w aktach Wójcowsko-Lawiejskich lubelskich, przechowywany w miejscowym archiwum akt dawnych. Dokument ten jest pisaowy w języku łacińskim, w roku 1687. I zawiera zeznanie przez Brukmana pokwitowanie udzielone sukcesorem, iż dług należy mu od s.n. Sebastiana Klonowicza, w zupełności odebrał. Dokument udzieleny został przez p. Detmerskiego.

W bieżącym roku udatowane dotychczas pozwolenie na wybudowanie w naszym mieście domu murowanego dwupiętrowego,

trzech murowanych budynków z celem przemysłowym, a mianowicie suszarni przy zakładzie garbarskim, kuzni i oranżeryi i kilku przebudowań gospodarskich.

PRZED 50 LATY

Od kilku dni zauważyliśmy, że piękny zegar na gmachu poezy lubelskiej, poważny rywal swego najbliższego sąsiada z gmachu Kasy Przemysłowej, co mocno szwankuje. Wezorał na przykład nasz dobry informator czasu opóźnił się od samego rana, aż wreszcie około godziny drugiej z trudem podał za swym sąsiadem z półtoragodzinnym opóźnieniem. Może by tak zarząd poczytał się symbolem całego Lublina i uleczyl go z tych doległości.

Założona w r. 1816 placówka księgarsko-wydawnicza przez p.

Kazimierza Kotlarskiego, cennie zapisana w życiu Lublina, w dniu 28 ub. m. święciła dziesięciolecie istnienia. Dzięki swemu niezomordowanemu założycielowi, człowiekowi wielkiego taktu, rozum i pracowitości, zdobyła sobie ona sympatię całego inteligentnego Lublina.

W miejscowości St. Nazare odbył się pobyt lot największego w świecie jednopłatowca wodnego. O olbrzymich rozmiarach samolotu świadczy następujące liczenie: długość skrzydeł wynosi 17 metrów, waga z obciążeniem 17500 kg (...). Samolot wyposażony jest 5 bateriami o ogólnej sile 2800 kw (...). Próby lot wykazały celkowie zadowalającą sprawność nowego samolotu.

Wybrała:
Zofia Luchowska

POCZTA LITERACKA

H. Z. Warszawa. Bole się zawsze „zestawu” wierszy. Wygląda to jak zbiorowe wydanie, jakiś summa dokonał w przynajmniej z pewnego okresu. I ja przynajmniej z pewnego okresu. I ja mam to odczuć, od mojego spojrzenia mam także powódzenie włożonego wysiłku. Więc się wykresem, proponuję temat poetycki w ogóle, a nie losy przeszłości. Wiem jak trudno jest napisać wiersz. Jak trudno wobec faktu, że przy dalszym trawieniu musi wyleżeć się mniej więcej staruszek rozłożeniu rygorów jakże łatwo znaleźć się w sąsiedztwie imitatorów. Czytelnik (wówczas redaktor) na zapis wybrzydza, dmucha nawet na bór, skoro niedawno trafił mu się szatan. Ale myślę, że poeta nie wyłącza po to pisać wiersz, by go wydrukować. Czasem właśnie wydrukowanie przejdzie nie zwróciwszy uwagi, tak przynajmniej do śląskiej piśmiennicy druku. A nie bez satysfakcji zostaje czytelny poruszenie wierszem nie wydrukowanym. Tak więc niech zostanie między nami. Czytelnik maszynopisu już Pan ma, kiedyś znajdzie się i druk. Kiedyś, to znaczy, kiedy tym wszystkim szczerym zapisom wyobraźni nada Pan kształt świadczący o większym zmaganiu się ze słowem w miejsce zafantazjowanej samoczynnie spełniającej się pod wpływem impulsu.

C. J. Lublin. Owszem, zainteresowała mnie ta retrospekcja i to zwolnione tempo narracji. Ma Pan skłonność do refleksji. Tylko jedno. Niefabularna proza odbierając sobie atrakcyjność akcji, spiecia konfliktów, perypetie życiowe itp. musi to czymś kompensować. Czym? Właśnie oryginalnością sądu. Dobrą taką prozę powinno się czytać jak kryminał. U Pana na wszystko mogę się zgodzić, ale nie mnie nie frapuje. Nic, co by wymusiło we mnie to „tak”, które jest konieczne dla trzymania w lekturze.

D. W. Katowice. Science — fiction ma w zasadzie jeden kierunek: penetracja kosmosu, domniemane epopeje ludzi w białych kombinazonach ze sznurowanymi rekawami. Na mój gust od razu było to przedsięwzięcie zbyt blade, by wykształcić oddzielny gatunek literacki. I jakoś się to sprawdza. Sam Lem nabral sceptycyzmu wycofując się do orbit technofuturologicznej. No bo jeśli nie jest to zabawa w wyprzedzanie odkryć naukowych to może być tylko stare przytanie lustra do gościnca, po którym przechodzą losy ludzkie, stare dawanie świadectwa widzialnemu światu. Wiele po co uciekać w przestrzeń międzygwiazdową? Science — fiction odzyska krew, gdy powstanie przypuszczenie, że techniczne warunki przyszłości wytworzą nowy walor ludzkiej egzystencji, dotychczas niezany. Ale kiedy tego przypuszczenia nie ma, całkowicie do zobrażenia ludzkiego losu wystarczą ziemskie milości, tragedie i obawy przed futurystycznymi blawoskami z fizyki. Oto założenia, z którymi czytelnik najsilnie opowiadanie. A wrażeń tym gorzej, że nawet ta strona sensacyjno-naukowa nie jest w nim należytym wyeksponowana, co przypuszczalnie pochodzi stąd, że nie ma Pan na ten temat wystarczającego zasobu wiadomości. Ale skoro nie ma ich również przeciętny czytelnik, doszedł Pan do wniosku, że tym łatwiej będzie zasugerować efekt. Zawsze te słoneczne wiatry, dżury w przestrzeni i inne sprawy są mniej sprawdzalne. Tak, tylko Panu nie przydały się na nie. Jak są niefunkcjonalne dla świadomości nie podbudowanej współczesną wiedzą naukową, tak zostały martwe pod pańskim piórem. Żeby napisać science — fiction nie wystarczy być wspaniałym latkołem fizykiem. Trzeba umieć zafantazjować sprawami człowieka. Eter kosmiczny wszystkiego nie zalatwi.

F. G. Lublin. Jest to opowiadanie zdumiewająco sprawne. Ale widzę, że zamierzone zostało jako zadanie stylizacyjne, a nie przekaz doznań, spostrzeżeń, choćby najbardziej esztykowne wiodły o człowieku. Tu inwencja rodzi inwencję, przez słowa śladem po papierze aż do zrealizowanej noty. Wszedł ładnie do sprawy, ale chwytliwy. Wiele przy nim nie zamawiamy się, nie wchodzimy go u siebie, nie mówimy. Czy Panu to wystarczy? Niewiele jest warte biszretu, które polega na powtarzaniu „odkryć formale” co najwyżej we własnym układzie. Jest to konwencja, w której im mniej, tym gorzej. Bo powodzeniem w technicznej obróbce słowa przesłania się cel przez wyrażenia, skutkiem czego czytelnik trzeźwie obrócony w kółko zastępuje się w tym samym miejscu. Jest dobre. Tylko nie ma potrzeby czytać.

K. P. Zamość. Jakoś nie mogę przekazać się do tych wierszy. Oczywiście nie mam do nich własny gust, ale przy pewnym doświadczeniu mam prawo uważać się za statystycznego czytelnika. I jako statystyczny czytelnik oceniam nadeślane utwory. A więc taki czytelnik nie byłby ulety tym malobrawkowym widzeniem świata, jakie wyrażone zostało w niektórych wierszach. Poetę musi zwierać ryzyko. Pan porzucił na konstatacjach wyrywkowych, przypadkowych, blablab. Zanotowany kawałek wiatru, nastroiku, sytuacji. Powie Pan, że to samo u Jasnorzewskiej. Ale u Jasnorzewskiej przy najbliżej tonie słysz się rezonans o kilka oktaw wyżej. Jasnorzewska małym kluczykiem otwiera niebo poezji. Niech Pan udzieli to ostrzeżenie, jakie przesyłam Panu ostatnią szerszą akustykę w wierszu. Niech Pan będzie trochę niezadowolony z tych migawek, które można sobie wyświetlić dla przypomnienia wakacji, ale które nie złożą się nawet na dokumentalną krótkometrażówkę.

A. B. Lublin, C. G. Chelm, D. H. Brubieszów, P. C. Jabłonna, T. R. Radom, M. W. Szczerbieszyn — nie skorzystamy.

Szyfrogram literacki (nr 20)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przzenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment wiersza związanego ze zbliżającą się rocznicą Ludowego Wojska Polskiego. Pierwsze litery 14 początkowych wyrazów pomocniczych utworzą imię i nazwisko tego autora. Czarne po jedynym kratki w diagramie oznaczają końcówki słowa, a podwójne wiersza. Wyrazy pomocnicze:
31. 1. 53. 29. 11. 40 — już spadają z drzew,
32. 95. 19. 18. 42. 35. 30 — wesoly wyraz twarzą,
17. 105. 56. 47. 52. 41 — roślina używana jako przyprawa do potraw,
43. 13. 29. 5. 85 — mowa,
21. 6. 33. 18. 59. 44. 73. 111 — kandydat, osoba ubiegająca się o coś,
12. 26. 66. 85. 89 — poemat Gajczyńskiego,
2. 28. 90. 64 — urządzenie do śniania,
4. 39. 94. 57. 5. 27. 51. 60 — syn Piasta i Rzepichy,
37. 91. 55. 49. 15. 88. 84 — siedmiu synów siedmiu wodzów greckich poległych w wyprawie przeciw Tebom,
50. 62. 104. 45. 34. 102. 79. 7 — próbek wy-poczynkowy nad leżącym Zegrzyńskim,
2. 14. 25. 98. 14 — mila morska na godzinę,
22. 54. 48. 19. 36 — francuski margines społeczny,
75. 71. 61. 83. 110. 70 — przepływa przez Węgrów,
24. 80. 76. 109. 72. 81 — Rifle lub Wranglery,
23. 106. 78. 8 — chroniony w Polsce drapieżnik z rodziny kotów,
82. 99. 53. 107. 77. 68 — urlop, wakacje,
108. 100. 103 — stan lotny,

		1		2	3	4	5	6	7	8	9		10
11	12	13	14	15		16		17	18	19	20	21	
22	23		24	25	26	27	28			29	30	31	32
33	34	35	36	37		38	39	40	41	42	43	44	
45	46		47	48	49	50	51	52			53	54	55
56		57	58	59	60	61	62		63		64	65	66
67	68		69	70	71	72	73	74	75	76		77	78
79		80	81	82	83			84		85	86	87	88
89	90		91	92	93	94	95	96	97	98	99	100	
101	102	103	104	105		106	107	108	109	110	111		

101. 97. 96. 46 — słaby napój alkoholowy,
87. 63. 58. 52 — szum wielu głosów,
69. 86. 38. 67 — kobieta demoniczna, uwodzicielska.
Rozwiązania można nadsyłać pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-90 Lublin) w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru. Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.
Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 18 był fragment pochodzący z „Księgi ubogich” Jana Kasprzowicza:

„Bo w sporze o szczęście świata
Swawolność mi była daleka,
A tylko korzystał z prawa
Wojującego człowieka”.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 18 bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali: Bohdan Biskiewicz 50-218 Wrocław, ul. Pomorska Nr 8 m. 20, Tomasz Kwiatk 20-043 Lublin, Aleje Racławickie 30 m 24, Kazimierz Pleśniak 00-976 Warszawa 13, skrytka pocztowa nr 111, Bolesław Sasadeusz 22-600 Tomaszów Lubelski, 1-go Maja 51.

listy do kamery

ZABYTKOWE LABORATORIUM

Musimy oszczędzać, taka jest konieczność chwili. Zdarzają się przecież specyficzne formy oszczędzania równoznaczne z marnotrawstwem. Znam np. szkołę, w której znajduje się kosztowne laboratorium do nauki języków obcych, przekazane placówce przez władze oświatowe. To poszukiwane urządzenie od dawna stoi tam bezczynnie! Oczyszczenie, w szkole naucza się dzieci języka obcego (rosyjskiego i angielskiego), ale klasy liczą ok. 30 uczniów, podczas gdy laboratorium posiada tylko kilkanaście stanowisk, co uniemożliwia korzystanie z niego. Na naukę języka w grupach, niejako ra-talnie, nie ma godzin (i środków). Najciekawsze przy tym, że w swej pierwotnej postaci laboratorium liczyło ponad 30 miejsc, lecz władze oświatowe podzieliły ten majątek na pół, chcąc „oszczędnie” uszczęśliwić dwie szkoły.

Edward Konieczny
Stalowa Wola

ZA DUŻO BLACHY?

Przebywając w Lublinie kilka miesięcy miałam okazję obserwować, jak budowlani marnotrawią płytki PCV i lenty, jak sklejają „na ślinę” budynki w osiedlu im. Prusa na LSM, znanym już w Polsce z fatalnego wykonawstwa (patrz: „Perspektywy” z początku br. i dziennik TV z sierpnia). Lubelskie Przedsiębiorstwo Budowlane płaci co prawda kary Lub. Spółdzielni Mieszkaniowej, ale to w żaden namacalny sposób nie poprawia sytuacji lokatorów tych mieszkań, w których roi się od usterek. Mimo interwencji środków masowego przekazu fakty niegospodarności występują w tym osiedlu nadal, budowlani w dalszym ciągu mało troszczą się o materiały i sprzęt. Oto na początku września dzieci powyciągały z wnętrza ukończonego w stanie surowym nowego biurowca zarządu LSM błyszczące parapety i rozłożyły je po okolicznym terenie. Dzieciom trudno się dziwić, ale dlaczego budowlani nie zabezpieczyli tych cennych elementów? Do dziś zastanawiam się ponadto, jakim prawem niektórzy mieszkańcy osiedla jeżdżą alejkami dla pieszych, swoimi samocho-

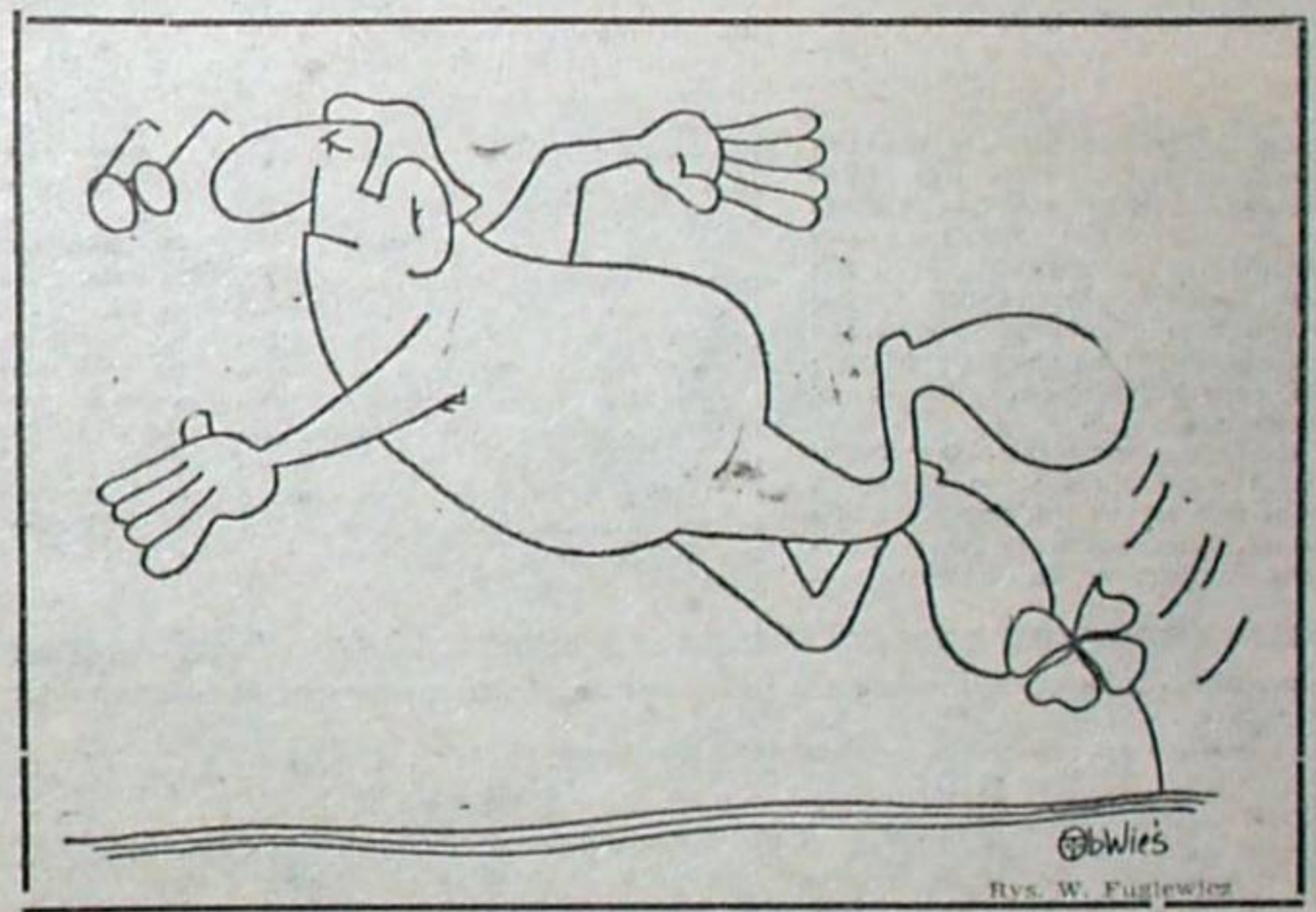
dami i motocyklami. Dzień w dzień, w sposób oczywisty, w osiedlu im. Prusa (np. w okolicy ul. Rzeckiego) lamane są przepisy ruchu drogowego i nikt tym faktem się nie przejmuje, mato tego — w takich kpi-nach z kodeksu drogowego biorą udział ludzie, którzy z tytułu swojej profesji są od powiadani za ład i porządek na jezdniach. Zdumiewające przy tym, że reszta mieszkańców pokornie znosi te zmotoryzowane demonstracje lekceważenia przepisów ruchu, które mogą skończyć się wypadkiem. Jeśli ludzie ci zwracają komuś uwagę, to tylko dzieciom na rowerkach, które z braku innego miejsca jeżdżą wspomnianymi alejkami, nie wyrządzając zresztą nikomu krzywdy. Ale dzieci, wiadomo, słabe istoty, więc można je „objeżdżać”.

„JAK ZYSKAĆ 16 MIESIĘCY?”

Przy końcu artykułu na temat budowy cukrowni w Krasnymstawie („Kamera” nr 18) M. Podgórski informuje: „W samym Krasnymstawie powstana dalsze bloki mieszkalne fabryki, przedszkole, żłobek (tylko o zakładowym domu kultury jakoś nie sły-

chać”. No cóż, że o domu kultury cicho, nie dziwię się. Od dłuższego czasu w Krasnymstawie kultura zdaje się być traktowana jak uboga krewna, poza „Chmielakami” nie godnego uwagi nie dzieje się w mieście i gminie. Godzi się więc przypomnieć, że Krasnymstaw posiada piękną tradycję kulturalną, początkami sięgającą lat bezpośrednio powojennych, kiedy działali tutaj wielce ambitny teatr amatorski im. Wyspiańskiego oraz szkoła muzyczna. Pracowały tu placówki w szaleniu trudnych warunkach materialnych, ale znakomicie dawały sobie radę, ciesząc się powszechnym uznaniem i szacunkiem. Bo byli wóto czas w mieście tacy ścicli i oddani kulturze ludzie, jak choćby Maria Gładkowska, pełniła funkcję referenta kultury i sztuki w Starostwie Powiatowym. W drugim czasie Krasnymstaw obok Zamościa przodował w życiu kulturalnym województwa, bijąc na głowę znacznie większy Chelm i inne miasta. Polecam serdecznie obywatelom krasnostawskim uważne spojrzenie w kierunku tradycji — może znajdą tam inspiracje na dziś i jutro?

Andrzej Samulski
Chelm



Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wańsiewski.

Redaguje zespół: Maria Bechczyk-Rudnicka, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mankowski, Zygmunt Mikolski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.
Prenumerata na kraj przyjmuje Oddział RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:
— do 20 listopada na styczeń, i kwartał, i półrocze roku następnego i na cały rok następny,
— do dnia 10 miesiąca, poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.
Cena prenumeraty rocznej — 78.
Jednostki gospodarki społecznej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH”.
Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratry indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-938 Warszawa konto PKO nr 1531-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i środy w godz. 14-16.
Wydawca RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 8, Druk: Lubelskie zakłady Graficzne im. PKWN Unicka 4 Zam. 2369 16.09.76 r.

Numer łamali: Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Stanisława Wielgosa
Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1 Nr indeksu: 36731

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 253-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-33.
Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecono i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Fryderyk Podolecki

PROPORCJA

Kłaniamy się — zwyczajnie albo niśko;
Zależy kto ma jakie stanowisko.

MOŻLIWOŚCI

W domu można się nieraz
Wyżyć w dziedzinach paru:
Żona — w roli trenera,
Mąż — w po/d/noszeniu ciężarów.

KONTRAST

Malowanym lalkom
Nie do twarzy z pralką.

NADWRAŻLIWIEC

Już patrząc na robotę
Zalewa się potem.

CHIMERY

Spotkasz i takie w życiu chimery
Z wyglądu — młody, duchem — emeryt.

minuta myślenia

Uwaga sly!

W WIELU dzisiejszych sformułowanych uderza ni mniej ni więcej, tylko brak myśli. Jakby samo wprawienie w ruch tego automatu, który nazywamy językiem współczesnym, wytwarzało znaczenia. Analogicznie do tego, co się działo kiedyś w malarstwie, np. w konwencji tasyzmu. Kłaść farbę, mazać, chlapać, jakiś efekt z tego wynika. A jeśli niezamierzony — wobec braku jakiegokolwiek zamierzenia poprzedzającego chlapanie — tym lepiej. Wtedy osiągnięty wyraz stanie się spełnieniem możliwości zawartych w akcie tworzenia.

Brak myśli można jeszcze strawić. Ostatecznie nie w każdym zdaniu ma być kopernikańskie odkrycie. Ale do braku myśli dochodzi poza. Formuluje się zdania na oryginalność, na wyższy ton, na zastanawiające ujęcie. Manewruje się słowami, jak młm pustymi reklamami, by wytworzyć złudzenie zajęcia.

Proszę państwa, jest nawet „społeczna kategoria”, która w tym bryluje. W tej ni jakości, w tym pozerstwie. To młody literat warszawski, już obulczony po redakcjach, już wkręcający w środowisko, a nawet w tym środowisku zaczynający nieco klasycznie, w czym walnie pomaga w porę zapuszczona broda i efektowne nabyty nawyk palenia fajki. Pomaga również frekwentowanie kawiarni koło kolumny Zygmunta. Ze nie wszystkim? To wynika z wylczenia, co więcej pomaga: obecność, czy nieobecność.

Wstępujące pokolenie. O wstępującym pokoleniu słusznie się mówi, że w jego rękach jest przyszłość literatury. Więcej trzeba się w tę przyszłość wmontować, co oczywiście naj-

skuteczniej osiąga się rewelacjami stylu. Siada sobie taka obletnica przy stoliku, zamawia małą kawkę i wtedy mała kawka rozumie się nie jako mała kawka, ale jako chwila zadumy nad Cendrarem (Ezra Pound, Saito John Persem, co jeszcze można dodać). Ale też nie jako chwila bierna. Jako chwila, która już mieści w sobie pewne konstancje, a za tydzień uwidoczni się rezultatem w prasie literackiej.

„Le style c'est l'homme”. Konieczne styl. Inaczej nie zauważą. Dawać ten automat współczesnego języka, współczesnych kojarzeń pojęciowych.

W notatce po śmierci Grochowiaka Korzysztof Gąsiorowski („Życie Warszawy”, 2 IX 1976) odchodzi od schematu. Zacytujmy. „Pisanie wierszy zawsze było śmiertelnie niebezpiecznym zajęciem”. Prawda, jak inteligentnie brzmi? „Uwaga, wiersz” — taki znak drogowy zawsze widniał na drogach literatury, a my o tym nie wiemy. Nie widział go Goethe, nie widział Hugo. Wę współczesnej Polsce widocznie się przewrócił, bo coś nie wygląda, by widział Iwaszkiewicz, albo Szymborska, ale niebezpieczeństwo przez to nie znikło. Tylko na czym polega? Na tym, że owo zajęcie „przynosi poetyckie owoce jedynie wówczas, kiedy zaświadczone jest własnym życiem poety”. Sek w tym, że wyjaśnienie sypie garściami nowe znaki zapytania. Bo np. Staif. Jak biedak własnym życiem miał zaświadczyć swoje uniolowanie ogrodów, czy kultury antycznej? Sądzić poręczki? Chodził w chitonie? Nie sadził, nie chodził. Widocznie nie było owoców w tej poezji. Ale dajmy na to, że poeta pisanie wierszy w końcu zaświadcza własnym życiem. To z tego wynika niebezpieczeństwo? Życiem osiąga twórczość. To właśnie ta groźna okoliczność, której należy unikać?

Czytajmy dalej: „Tu zemsta słów musiała przybrać kształt fizyczny”. Więc mamy nowy znak ostrzegawczy: „Nie pisz, słowa mszczą się!” Ale popatrzmy na dalszy etap niebywale oryginalnego ciągu logicznego. Oto on: Grochowiak pisał dobrze, bo twórczość poetycką zaświadczył własnym życiem, na skutek czego słowa się mszczyły. Bo słowa bardzo nie lubią dobrej poezji. Gdyby Grochowiak był grafomanem, żyłby dalej.

Owszem, można przystać na sformułowanie, że napięcie twórcze skraca życie poety. Tego przykłady mieliśmy liczne. Ale Gąsiorowski nie to powiedział. W pogoni za „oryginalnością” strzelił bzdurę.

„W stuleciu, w którym prawda człowieka rozproszyła się wśród teoretycznych systemów i abstrakcyjnych pojęć...” Wielkie nieba, to o wieku dwudziestym? O tym, o którym się mówi, że odszedł od swego idealistycznego poprzednika i stał się wielobicielem konkretno? Epoką odkryć fizycznych i zmarsowanego ciśnienia determinantów ekonomicznych? Tu się najbardziej zadomowily abstrakcyjne pojęcia? Bardzo łatwo nad wyznacznikami rzeczywistości przechodził zdanie zamierzone na „inteligentny” zawijas stylistyczny.

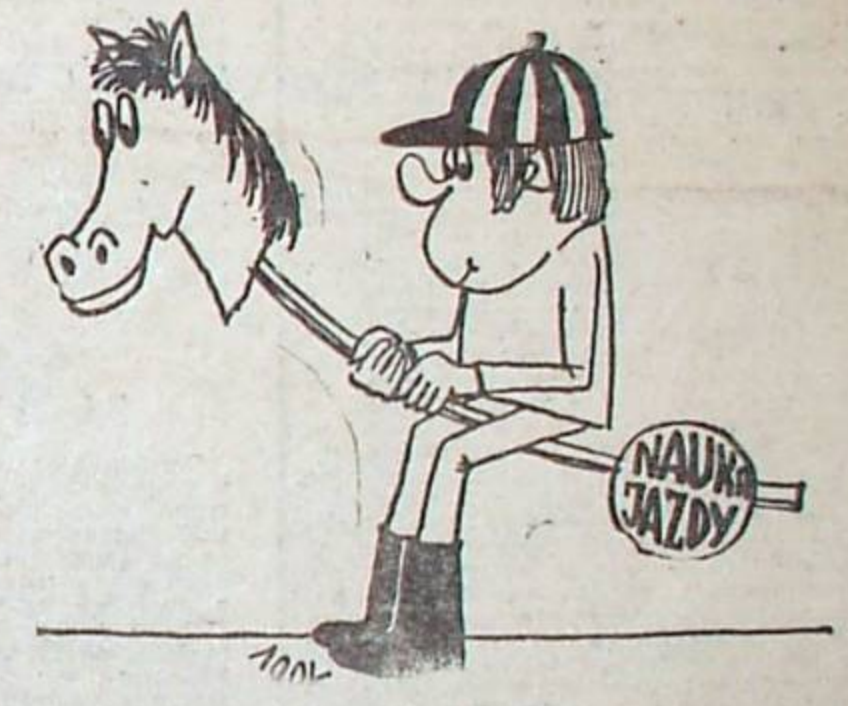
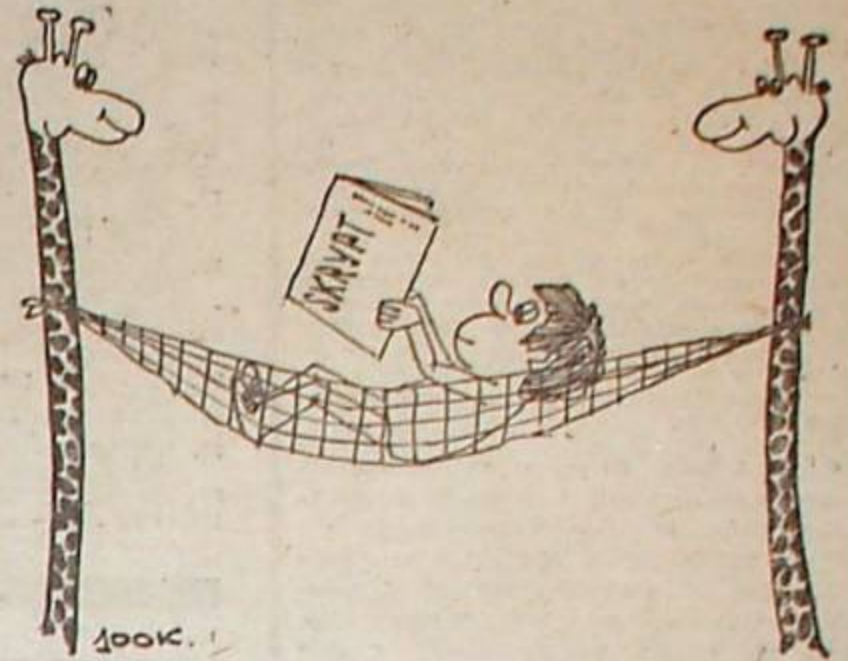
Grochowiak „mimo uznania i sławy nie zadomowił się w swoich czasach do końca”. A cóż to są czasy, jeśli nie ludzkie, jak można trafić we wrażliwość społeczną, w charakter kulturowy zapotrzebowań będąc równocześnie niepełnym obywatelem swojej epoki? Osobliwa logika.

„Ale mamy też osobliwą metaforykę. W sam raz dla odnośnego mieszańca. Oto: „Po jego śmierci w poezji polskiej otworzyła się milcząca rana, tak jak gdyby zamknięty się usta”. Coś się tak otworzyło jakby się coś zamknęło. Świetne. Ale nie oryginalne. Trzeba przyznać, że niebywalej sztuki dokonał Gąsiorowski w krótkiej notatce mieszając tak obszerną próbkę swojego stylu.

Czy chodzi o jeden tekścik? Bogać tam. Można sobie darować. Albo czekać na przedruk w jakiejś rubryczce prasowych licksów. Rzecz w tym, że ten „rewelacyjny” sposób stał się obowiązujący w pewnej grupie literatów zabierających się do formowania nowego wyrazu dzisiejszego kulturalnego języka. Chciałoby się powiedzieć — języka nie tylko pisanego, ale myślanego. Ta maniera „interesującego” słowa. Bez względu na okoliczność, że osiąga się przy tym niezamierzony efekt śmieszności. Ba, nie zdając sobie z tego sprawy. Cała inwencja przecieł jest włożona w to intrygujące „plim”, a na resztę — w postaci sensu, doręczności słownych związków — są nalożone konskie klapy.

Tjon

RYUNKI ANDRZEJA STOKA



bez bybubw

POWIEŚĆ CZYTELNIKÓW

-17-

— Mam — mówi Elżbieta — to jest pan Andrzej, poeta.
Andrzej przedstawia się i całuje dłoń starszej pani.
— Myślałem, że pani jest siostrą Elżbiety.
— Ale z pana komplementarz! — Mama Elżbiety czerwił się i widać, że jest najwyraźniej zadowolona. Dyskretnie wycofuje się. W pokoju są teraz sami — Elżbieta i Andrzej.
Andrzej obejmuje Elżbietę. Ta delikatnie się odsuwa.
— Mama może wejść.
— To co, jak wejdziesz. Czy my robimy coś złego?
— Nie, ale...
Andrzej widzi przez okno, że mama Elżbiety wyszła do ogródka, coś zrywa z grządk.
— Teraz mogą cię jednak pocatować... Mama zostawiła nas samych w mieszkaniu.

Elżbieta przytula się do Andrzeja całym ciałem. Jego ręce gładzą jej włosy. Czuję ten delikatny dotyk, cały świat wiruje jej przed oczyma.

— Kocham cię, malutka — to są słowa Andrzeja. Słyszysz je i nie może w nie uwierzyć.

— Każdę tak mówisz... szepce i czeka, czeka na zaprzeczenie.

— Nie, tylko tobie. Trochę się zraziłem do dziewcząt. Ale ty jesteś taka inna niż wszystkie.

— Inna? — myśli Elżbieta. — Nie, ja jestem bardzo podła, gdybyś ty, Andrzej, znał całą moją przeszłość... Ale czy ja znam jego przeszłość? I czy trzeba zastanawiać się nad przeszłością, kiedy ważna jest obecna chwila, kiedy ważna jest przyszłość?...

Elżbieta woli nie mówić. Tak jest lepiej. Tak jest dobrze. Ręce Andrzeja... Czuję je na pierśsiach. Dreszcz wstrząsa ciałem.

— Nie, nie najdroższy... Jeszcze nie teraz... — Wyrzuca się z objęć, czyni to wbrew sobie, ale przecieł nie może inaczej. Ona musi być silna, Andrzej... Andrzej klęczy, całuje jej kolana...

— Jedyna, moja jedyna...
Elżbieta znów się wyrzuwa, choć wielka rozkosz oparła ją całą. Nigdy, mimo że coś już w życiu bardzo intymnego przeżyła, nie było jej tak dobrze jak w tej chwili... Biegnie do kuchni, musi przez moment ochłodzić się.

Andrzej też jest rozgorączkowany, ale błędnie, kiedy wzrok jego pada na list, który leży na stole. Machinalnie bierze do ręki kopertę, czyta imię i nazwisko nadawcy. „Zygmunt... Ktoś istnieje w jej życiu. Ale wolałbyś dłużej go ma nie istnieć? Chyba całe życie na mnie nie czekała...”

Gdy Elżbieta znów jest w pokoju, Andrzej pyta już bardziej opanowany:
— To list od twojej sympatii?
— Nie. Od kolegi. Ten list nie ma dla mnie żadnego znaczenia.

Słowa Elżbiety brzmią nieco sztucznie. Andrzej jest spostrzegawczy, robi mu się przykro. Nie daje jednak tego poznać po sobie i zmienia temat rozmowy. Ale ona chce być teraz stroną atakującą.

— Andrzejku, powiedz mi szczerze, czy łączysz cię coś z Brantwetterową?
— Z nią? Dlaczego ci to przychodzi do głowy?
— A bo wczoraj odniosłam takie wrażenie.

— Nie bądź śmieszna, Kochanie. Każdy z nas ma swoich znajomych, którzy jak na przykład teraz Brantwetterowa, stają się wspólnymi znajomymi. Chyba nie jesteś o nią zazdrosna?

— O nią, o wszystkie kobiety jestem zazdrosna! O wszystkie, które miałeś w swoim życiu. Andrzejku, co ty ze mną zrobisz? To wszystko stało się tak nagle... Wprost nie mogę uwierzyć... Boję się... Bardzo się boję... Jeszcze nigdy nie było mi tak dobrze, jak z tobą. O, Boże, do czego to wszystko doprowadzi?

Andrzej siada przy stole.
— Kawy ci zrobię, Kochany... Jadłeś już obiad?

— Nie, dziękuję, myślę, że razem pójdziemy na obiad. Możesz się czuć zaproszona.

— Ale obiad już jest gotowy. Miałam właśnie brać się do jedzenia, kiedy przyszedłeś. Nie ma mowy. Dzisiaj ty możesz się uważać za zaproszonego. Jesteś moim gościem.

Andrzej rezygnuje, z protestów, bo rzeczywistość jest głodny, a te zapachy z kuchni teraz dopiero zaczęły na niego działać.

Przez chwilę sam jest w pokoju. Ogląda zdjęcia wstążce na ścianie. „Ta mała dziewczynka na sankach o kręconych włosach — to chyba Elżbieta. Poznają po rysach twarzy” — myśli i potem pyta o to głośno.

— Nie, to moja siostra.
— Masz siostrę?
— Miałam. Sześć lat temu zginęła w wypadku samochodowym.

— Przepraszam... To była dla was wielka tragedia.
— Tak. Miała dwadzieścia lat. I teraz mama najbardziej się boi, kiedy ja siadam do samochodu. Uraz pozostał. Ojciec chciał już przed rokiem kupić syrenkę, ale mama się na to nie zgodziła. Ja też byłam ranna w tym wypadku, ale dla mnie wszystko skończyło się szczęśliwie.

— A kto prowadził samochód?
(cda)

Tym razem wybieramy dość żywy, naszym zdaniem, odcinek nadesłany przez p. Zofię Krajewską z Poznania. Dziękujemy i cieszymy się, że liczba propozycji naszych czytelników powiększyła się. Na następny odcinek czekamy do 8 października.